N. 30. WARSZAWA d. 17 (29) Lipca 1871 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Z teki ś. p. Jakóba Zakrzewskiego.

USTĘP Z PIEŚNI
ŻYCIA I MIŁOŚCI.

Na zachodzie gasną zorze,
Dzień w obłokach dogorywa,
Anioł pański o wieczorze
Do modlitwy cichéj wzywa.
Płynie z wiatrem podzwonienie,
Tajemnicze, ciche głosy,
Stare drzewa, pełne kłosy
Szlą wieczorne pozdrowienie...—
Ptak w zielone gniazdo leci,
Liść mu szumi, cieką wody,
Świętojański robak świeci,
I rzeźwiące wieją chłody.
Niestrudzony swemi laty,
Nim wieczorna padnie rosa,
Idzie księżyc na niebiosa,
Na zwyczajne nocne czaty.
Jak rozjaśnił blade czoło —
Krocząc zwolna po obszarze.
Liczy gwiazdy, niby w koło
Rozstawione nocne straże.

Czas po dziennym spocząć znoju,
Sen przybędzie nieproszony:
Sen jak woda w leśnym zdroju,
Ludziom pracy i pokoju.

Tyle ruchu było w domu,
Teraz życia ani znaku—
W głos odetchnąć nie ma komu,
Cicho senno, jak po maku.
Tylko jeden kąt izdebki
Nieprzerwany szelest rodzi,
Jak gdy biegun u kolebki
Jednostajnym krokiem chodzi,
W odmierzonéj pewnéj drodze,
Tam i nazad po podłodze,
W późnéj nocy w sennéj ciszy,
Oko czuwa, ucho słyszy
Oko matki, pierś matczyna
Jak stróż anioł strzeże syna!
W tych to nocach niewygody,
W tych godzinach bez spoczynku,
Daje matka w upominku
Swoich trudów bez nagrody,
Pierwszą miłość dziecku swemu:
Miłość — tarczę przeciw złemu;
Miłość — gwiazdę, co w pomroku
Drogę życia mu rozświeci;
Miłość — różczkę co przy boku,
Gdy już wszystek liść obleci,
Na ostatniéj już pościeli
Jeszcze skon mu rozweseli!

Któż zwyczajną liczbą zmierzy,
Ile matka łez wyleje,
Ile razy snu odbieży
Nim odkarmi swą nadzieję?
Życie matki ciągłym trudem,
A jak wątła pierś kobieca!
Jakaż władza, jakim cudem
Płomień życia w niéj podnieca? —
Czyś ty w serca tajemnice
Patrzał kiedy jak w krynice?
Czyś ty zbadał, jak się rodzą
Łzy boleści i w co godzą?
Czyś ty krążył w życia kole?
Czyś ty zbadał, kędy wschodzą
Skryte zioła, co nam słodzą
W jednéj chwili długie bole?
Czyś ty widział te źrenice,
Te radości błyskawice,
Co nam troskę i niedolę
Jakby cudem rozpogodzą!

Patrz już nie śpi robak mały —
Bliźnie gwiazdy z pod powieki
Wdzięcznem czuciem rozjaśniały,
Jakby w zamian téj opieki,
Którą w matce przez noc miały.
Coraz miléj, coraz bliżéj,
Coraz żywiéj, coraz szczerzéj
Oczy w matkę się wpatrują,
A z usteczek otworzonych
Drobne słówka wylatują,
I rączęta jak bliźnięta
Pośród pieszczot nieuczonych
Szyję matki obejmują!...
O! już teraz niechciéj pytać
Jakim cudem trwa to życie,
W licach matki możesz czytać
Twéj zagadki rozpowicie,
W téj przed chwilą smutnéj twarzy,
Na téj skroni troską bladéj
Żadna boleść się nie skarży,
Bezsenności starte ślady;
W głosie matki, w jéj spojrzeniu
Tyle szczęścia i swobody,
Tyle życia i osłody
W utrudzonéj piersi tchnieniu,
Że już teraz ujrzysz jasno
Jakto matka od poczęcia
Niewidomie duszę własną
Przelewała w pierś dziecięcia;
Jak ją w nocach niedospanych
Na to grzała serca biciem,
By śród pieszczot młodocianych
Odżyć dziecka młodem życiem,
I w tych słówkach szczebiotanych,
Pośród trwogi niepokoju,
Czerpać siłę jak we zdroju! —

KORESPONDENCJA

z

WIEDNIA.

(Dalszy ciąg.)

Ostatnią nowością graną w teatrze zamkowym, czyli jak pospolicie mówią w burgu, była komedja w trzech aktach Adolfa Wilbrandta, pod tytułem „Zaślubieni.“ Autor ten napisał już parę sztuk dobrych i stanął na takiem stanowisku, że choć co gorszego napisze, publiczność przyjmuje wszystko za dobrą monetę. Podobnie było z „Zaślubionemi.“

Sir Josuah Westcote bogaty anglik, pedant i niezachwiany w zdaniu, ma córkę Emę, wydaną za Artura Botwela, który jest dla żony obojętnym, a z usposobienia i charakteru dość podobnym do teścia, tudzież syna Wiliama młodego trzpiota, którego postanowił ożenić ze swoją wychowanicą Arabellą. Narzeczeni nie kochają się i z musu tylko ulegają staremu, a pobrawszy się przyrzekają sobie żyć ile możności zdala od siebie i jak najmniéj robić sobie przymusu. Pewnego razu (akt drugi) cała rodzina znajduje się na polowaniu. Powstaje nagle burza, podczas któréj oboje zaślubieni schodzą się w jakiejś pustéj chacie i tam wśród rozmowy z prawdziwym wdziękiem przeprowadzonéj, serca ich zaczynają się rozgrzewać. W tem zjawia się Artur Botwell, przynosząc Wiliamowi list z doniesieniem, że u jednego z krewnych będzie bal maskowy, i zachęcający do wybrania na tym balu królowéj nocy. Autorką tego listu jest żona Artura, usiłująca tym sposobem zawiązać intrygę. Po odejściu Artura zapada noc, Arabella i William pozostają w pustéj chacie. W płaszczu męża którym jest okryta, znajduje Arabella list ów przez Botwella przyniesiony, i postanawia być także na balu. Bal (akt trzeci) przedstawia piękny i ożywiony obraz. W Arabelli odzywa się zazdrość i zamienia się wkrótce w ognistą namiętność. Wiliam pije do żony, a ta wytrąca mu kielich. Ojciec zgorszony tym widokiem, rozkazuje synowi rozwieść się z żoną, ale wkrótce pozwala sobie wybić z głowy tę myśl: małżonkowie ściskają się, zasłona spada.

Istotnie dobrze się stało, że dał sobie wyperswadować ten rozwód: gdyby bowiem pozostał do końca tak upartym i niezachwianym, jakim był w pierwszym akcie, zaślubieni byliby się rozwiedli, a wówczas nic by nie pozostało autorowi, jak rozpocząć sztukę na nowo i znowu ich pożenić, — po rozwodzie mogłyby znowu nastąpić zaślubiny, i tak daléj aż do nieskończoności.

Teatr zamkowy pozyskał temi czasy młodziuchną artystkę, rokującą wielkie nadzieje. Jest nią panna Olga Precheisen. Odkryto ją przypadkiem w Styrji, gdzie występowała w teatrze prowincjonalnym i tu przywieziono, a gdy próbę odbyła szczęśliwie, pozwolono występować. Po raz pierwszy występowała temi dniami jako *Dziewica orleańska* i bardzo się podobała; ku końcowi sztuki jednak, publiczność, znudzona uprzykrzonem natrętctwem klakierów, okazywała się dla niéj obojętniejszą niż z początku.

Panna Precheisen licząca najwięcéj 18 lat, ma niezaprzeczenie znakomity talent, i posiada bardzo powabną powierzchowność, a gdy pierwsze lody już przełamane, wkrótce zapewne wyrobi się na znakomitą artystkę.

Grany parę razy temi czasy w teatrze na Wiedeniu, obraz współczesny Beoli pod tytułem: „W Paryżu“ doczeka się zapewne wielu przedstawień, bo znajdzie się nie mało takich, co przynajmniéj w teatrze zechcą się dowiedzieć, jak to było w Paryżu. Nie bardzo to pełny, nie dość dokładny obraz, ale też inaczéj być nie mogło, bo chodziło o zamknięcie w obrębie trzech godzin wypadku, jaki zdarza się ledwie raz na 500 lat, i na przeciąg jednego roku za wielkim się zdaje, a tu potrzeba jeszcze było zastosować się do sztuk ludowych wiedeńskich i poprzeplatać fakta kupletami, kankanami i t. p. Sztuka porusza jednak główne szczegóły historyczne ostatnich wypadków, o ile to było możebnem w téj formie; wiele jest scen prawdziwych, ludowe i wojenne dość żywe. Ogłoszenie komuny, czerwone chorągwie, marsylianka, wszystko to wzbudzało niepospolity zapał w pewnéj części widzów.

Procesja Bożego ciała dawno już przestała być w Wiedniu uroczystością religijną. Wszyscy uważają procesję za widowisko; jakoż jest niem w całem znaczeniu tego słowa, bo publiczność nie postępuje za orszakiem, lecz są dla niéj urządzone amfiteatralne trybuny, tak na placu św. Szczepana, jak i na tych wszystkich ulicach na których są ołtarze, i z tych trybun makatami i kobiercami tu i owdzie przystrojonych, przypatrują się pochodowi religijnemu jakby jakim igrzyskom. Nie może jednak być inaczéj, ponieważ ulice, w stosunku do niezmiernych tłumów ludu zanadto są ciasne, a placu takiego jak np. rynek krakowski nie ma. Na procesji można widzieć nietylko wszystkich dygnitarzy rządu, ale oraz cały dwór w pełnéj gali, a to niepospolicie ponętnym jest wabikiem zarówno dla przyjezdnych jak dla gawiedzi miejskiéj. Tym razem wiadomość że cesarzowa będzie na procesji, sprowadziła niezliczone zastępy ciekawych. Widok był rzeczywiście rozmaitością swoją bardzo zajmujący. Suknie dam dworu, różniły się znacznie od kostiumów przedstawianych zwykle w żurnalach, ale opisać je, prawdziwe niepodobieństwo. Głównie wpadały w oczy ogony niezmiernéj długości, niesione przez paziów lub lokai, Cesarzowa (bez przesady i pochlebstwa) najpiękniejsza z całego orszaku, była w białéj sukni jedwabnéj i zarzutce koronkowéj. Włosy miała rozpuszczone, a nad czołem iskrzył się djadem brylantowy. Przynajmniéj pięciołokciowy ogon sukni niosło dwóch maleńkich pazików. Ministrowie węgierscy byli w bardzo kosztownych strojach narodowych, austrjaccy w mundurach.

Gwardje cesarskie piesze i konne, z toporami lub bez tychże, w przepysznych czerwonych mundurach, w skórach lamparcich i hełmach na głowie, uzupełniały świetny ten obraz.

Nie tak wspaniałą była uroczystość 25 letniego jubileuszu papiezkiego,—właściwie zaś nie było żadnéj, skończyło się bowiem wszystko na cichem nabożeństwie w kościele.

Na eksportacji Dra Gilewskiego, który umarł zaledwie sprawa cokolwiek przycichła, przemówił nad trumną Dr. Majer, czcigodny prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego, a to może służyć za miarę, czem był Gilewski dla nauki, czem był dla ludzkości, bo Dr. Majer jest tak wielką powagą, tak wielką znakomitością, że jego przemówienie nad grobem można policzyć do największych zaszczytów. Świeżo powstająca w Krakowie akademja umiejętności, jest wyłącznie Dra Majera dziełem. On to postawił Towarzystwo naukowe na téj stopie, że jeden krok tylko oddzielał ją od akademji, on wyjednał rozporządzenie cesarskie polecające jéj założenie. Kiedy się akademia urządzi, niewiadomo. Przed trzema tygodniami szanowny prezes był w Wiedniu, dla porozumienia się w téj sprawie z ministerstwem i oznaczenia warunków, pod któremi Towarzystwo naukowe dom swój i zbiory odstąpi akademii. Będzie to czwarta z rzędu akademia umiejętności w monarchii austrjacko węgierskiéj; dotychczas bowiem oprócz takiejże w Wiedniu, istnieją akademje w Peszcie i Zagrzebiu,—ta ostatnia posiadająca taki znaczny majątek własny, że nie potrzebuje żadnéj s ubwencji rządowéj. Nie jest nadto nieprawdopodobnem, że powstanie jeszcze piąta akademia, w Pradze czeskiéj, w podobny sposób jak krakowska, to jest przez przeistoczenie tamtejszego Towarzystwa naukowego; zależeć to jednak będzie zapewne od względów politycznych, a w szczególności od wyniku ugody, jaką rząd usiłuje przeprowadzić z narodowościami.

Na wystawach obrazów, jest obecnie mało dzieł większéj wartości. W domu artystów (Künstlerhaus) obraz Dalehna zatytułowany *Przed karczmą*, należy do najlepszych. Dzień dżdżysty, deszcz pada co chwila, na krótko przestając, cała przyroda w złym humorze i jakaś rozgrymaszona. Przed karczmą stoi wóz z towarami, cały przemoczony. Konie nędzne zmęczone, cieszą się że trochę wypoczną, bo woźnica poszedł się rozgrzać. Woda kapiąca z dachu, przelewająca się z beczki, tworząca kanały na gościńcu, pies miejscowy obwąchujący wóz, kaczki pływające w kałuży, niebo zachmurzone ciężkie,—wszystko to oddane z niepospolitą biegłością i talentem,miłe na patrzącym sprawia wrażenie. Naumanna *Pustelnik* na tejże wystawie, jest cudowną sielanką. Przedstawia pustelnika, mieszkającego w lesie, który wszystko co tam żyje, uważa jakby swoją rodzinę, i do którego też wszystko co tam żyje garnie się z ufnością. Obłaskawione ptak, i zwierzęta zbliżają się do niego bez trwogi, kwiaty zdają się czuć jego obecność i uśmiechać na jego przybycie. Na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych, jednym z najlepszych obrazów jest *Żebraczka pod kościołem* p. Antoniego Kozakiewicza. Twarz żebraczki, te oczy czerwone od łez a już nie płaczące, gra rozmaitych uczuć oprócz nadziei, postawa żebrząca, obojętna, ponura nie tonem prośby domagająca się ofiary: we wszystkiem tem wiele jest prawdy, wiele głębszych myśli, bo tego rodzaju żebraninę nie tylko pod kościołem się spotyka. Krytyka miejscowa bardzo dobrze przyjęła ponury obraz p. Kozakiewicza.

Zresztą na obu wystawach mało znajduje się przedmiotów godnych widzenia. Jest wiele pejzażów, mających być niby typami poszczególnych okolic a które przecież tak są do siebie podobne, że gdyby na nich poodmieniano napisy, ręcze że nikt nie domyśliłby się podstępu. W ogóle na dwóch wystawach tutejszych, zmieniających się przecież co miesiąc, bardzo rzadko można się spotkać z charakterystyką miejscową czy, to w pejzażu czy w obrazku rodzajowym. Artyści unikają prawdy jakby umyślnie; może to z patrjotyzmu, nie chcąc poruszyć śmieszności, które przy każdéj sposobności występują na jaw.

Przytoczyłem niedawno przykład gamoniostwa chłopów z pod Wiednia. Podobne sceny jakże często zdarzają się w samem mieście, i to właśnie tam gdzie spodziewaćby się należało pewnego sprytu i przebiegłości.

Wejdźmy do sali sądowéj. Ma się odbywać rozprawa publiczna o przejechanie dziecka. Publiczność zajmuje miejsca, sługa sądowy przyprowadza jakiegoś woźnicę i wskazuje mu miejsce na ławie o-

skarżonych. Woźnica siada spokojnie i patrzy w około ciekawie. Pomiędzy świadkami i publicznością dają się słyszeć ciche szepty i powstaje coraz żywsze poruszenie. Ten i ów uśmiechnął się szyderczo, zasadził kapelusz i wyszedł. Ale co to wszystko znaczy? Wchodzą sędziowie, następuje wywołanie sprawy: woźnica Józef Iisser obwiniony jest o występek przeciw bezpieczeństwu życia przez przejechanie dziecka. Prokurator zabiera się do odczytania aktu oskarżenia. W tem — woźnica podnosi się z miejsca, zbliża się do prezesa i pyta:

— Ich bitte Euer Gnaden, co ja tu mam do czynienia? Nic a nic nie zrobiłem i ani się domyślam po co mię tutaj przyprowadzili.

— Jakto? powie prezes: czyż nie ty jesteś Józef Iisser, woźnica?

— Jestem woźnicą i na imię mi Józef, ale nazywam się Iiskra.

Wszczyna się śmiech ogólny; świadkowie potwierdzają, że to nie ten co dziecko przejechał. Przyczyną téj omyłki była policja, która złudzona podobieństwem nazwiska, znalazłszy Iiskrę, nie troszczyła się już o Iissera. Trzeba było widzieć miny pana prezesa, sędziów i prokuratora. Niewinnego wypuszczono tym razem, ale kto wie czy kiedy nie przyjdzie do tego, że w Wiedniu wieszać będą ślusarzów zamiast kowalów, jak ongi w Pacanowie. Ale cóż ja to mówię! Wszak straż policyjna w Pacanowie pewnie nie umiała ani po francuzku ani po angielsku i nigdy nie uczęszczała na kurs popularny nauki prawa, jak właśnie dla straży policyjnéj wiedeńskiéj urządzają.

(d. n.)

URYWKI Z PODRÓŻY

PO STYRJI

PRZEZ

Tadeusza Jerzego Steckiego.

w roku 1870 odbytéj;

V.

Zamek Bertholdstein—piękne jego położenie — dawne dzieje panów tutejszych — opis wewnętrznego urządzenia zamku — żelazna maska — starożytna kaplica z grobami Lenghejmów — poemat Hornecka.

Czytelników których nasze opisy jeszcze nie znużyły, znowu poprosimy z sobą — znowu w góry, na wycieczkę do Bertholdstein, w malowniczéj ustroni doliny Raabu położonego. Miłośnikom przyrody szukającym rozległych widoków, zalecamy mianowicie zwiedzenie téj pięknéj miejscowości. I tu jeszcze jest zamek, na cyplu wysokiéj skały zawieszony, otoczony głębokimi parowami i lasem, gęsto krzakami podszytym, z jednéj tylko strony od południa dostępny. Ani czas, ani napady nieprzyjacielskie, ani zmienne koleje tutejszych dziedziców, niezdołały zniszczyć téj staréj obronnéj budowy. Niewzruszone czarne poważne zamczysko ostało się wszystkiemu i potężne góruje nad okolicą, a ze swéj wysokości zdaje się urągać młodszym swym towarzyszom już w ruinach leżącym, jakby stawiło im przykład wytrwałości. Widoki jakie podróżny dosięga z okien tego zamku, zwłaszcza z północnéj jego galerji, wynagrodzą sowicie trudy jego wycieczki. Nie masz im równych w całéj Styryi, chyba w Riegersburgu, który widać ztąd jak na dłoni, i w którym przez ustawioną lunetę liczyliśmy ludzi przechadzających się po wałach.

Historja i nomenklatura rodzin, w posiadanie których kolejno przechodził Bertholdstein, nie przedstawia dla nas cudzoziemców szczególnego interesu,— streszczamy ją więc w kilku słowach.

Pierwszym założycielem tego zamku pod koniec XIII stulecia był Bertold von Emmerberg, od niego więc zapewne i nazwa tego miejsca Bertholdstein (Pertelstein) powstała. Dziwnym trafem, pomimo najazdów na które przez kilka wieków Styrja wciąż była wystawioną, po starych klasztornych archiwach tutejszych przechowało się mnóstwo starożytnych aktów nadań i innych dokumentów, w pobliskim ztąd kościołku w miasteczku Fehring, oglądaliśmy list nadawczy z 1305 r. dla parafii podpisany przez Bertholda Emmerberga założyciela tutejszego zamku. Był on pułkownikiem w wojskach cesarza Rudolfa i należał wraz z dwoma braćmi Mahrenbergami Polikarpem i Ryszardem, do zamordowania czeskiego króla Ottokara w pamiętnéj bitwie pod Marchfeld w 1278 r.

W XIV wieku wygasł ród Emmerbergów, a posiadłości ich kolejno w ręce rozmaitych panów styryjskich przechodziły, aż w 1578 r. kupione zostały wraz z zamkiem przez Adama von Lengheim ożenionego z Heleną von Weisseneck. Ten z gruntu zamek zrestaurował i utworzył na jego posiadłościach majorat, który przez lat 220 aż do r. 1784, t. j. aż do wygaśnięcia Lengheimów pozostawał w ich imieniu. Następnie po rozmaitych kolejach, przed dziesięciu laty dostał się Bertholdstein do teraźniejszego dziedzica, który choć obcy i żadnemi związkami z dawnemi panami tutejszemi nie połączony, z całą jednak starannością utrzymuje ten pomnik przeszłości.

Z pozoru brzydkie to było zamczysko, ciężkie, połamane jak wszystkie jemu współczesne budowy, kiedy to ani o styl ani o wygodę nie starano się wcale, a głównie obronę i bezpieczeństwo w budownictwie miano na uwadze. Przy takich warunkach wyrastało zwykle coś szpetnego, ale ta to właśnie szpetność tak rażąca przy gmachach późniejszych, w których myśl i idea piękna przodkowały, nadawała tamtym sankcję i charakter starożytności, który w nich dziś tak cenimy. Ma ją niezaprzeczenie i zamek tutejszy, w zamknięty trójkąt zbudowany, z ogromnym dziedzińcem zacienionym staremi kasztanami i włoskiemi orzechami, z krytemi na arkadach wspartemi galerjami, które dokoła otaczają. Bluszcze i powoje okoliły te arkady w zielone swe ramiona, a nietamowane od lat wielu ręką ludzką, splotły się z niemi jakby uściskiem kochanków. Nad sklepioną bramą prowadzącą do zamku pozostały herby Lenghejmów i Weisseneków, pod nimi rok 1582 i dwa nadpisy.

Sam zamek składa się z dwóch oddzielnych i w rozmaitych wiekach wzniesionych budowli, połączonych tylko z sobą starożytną gotycką kaplicą. Pierwsza z tych budowli, stanowi właściwie starożytny zamek fundacji Bertholda Emmerberga z XIII wieku, druga dopiero w XVII wieku przez jednego z Lenghejmów, ze starego spichrza na zamkowe pokoje przerobioną została. Świadczy o tem nadpis na zewnętrznéj ścianie umieszczony.

To też i w swéj budowie i w urządzeniu komnat znać tu już i potrzeby wytworniejsze późniejszéj epoki i pojawiające się wraz z nią zamiłowanie zbytku i okazałości. Za to w starym zamku przechowała się we wszystkiem prostota średnich wieków i brak tego wszystkiego nawet, coby pierwsze wygody życia zadowolnić było w stanie. Ciasne izdebki kurytarzami i niezliczonemi schodkami jedne z drugiemi połączone, okna w ołów oprawne, w nich gęste szyby zaledwie słabe światło przepuszczające, jednem słowem gmach cały raczéj na ciasne więzienie, niż na pańską siedzibę wygląda. Nie bez interesu może będzie dla czytelnika, rozkład pokoi w tym zamku, zwłaszcza że zupełnie ten sam spotykamy i w innych zamkach z téj epoki, musiał być więc jeden plan dla wszystkich już uznany. Jedyną obszerną izbą w całym gmachu jest tak zwana sala rycerska *Palas*, środek zamku zajmująca, z 11-ą malutkiemi oknami w jednéj tylko ścianie w rząd uszykowanemi, z sufitem sklepionym na arkadach. Sala ta wzniesiona wyżéj od innych pokoi, to też wchodzi się do niéj po 20 schodkach *Greden* zwanych. Dwoje drzwi po rogach prowadzą z *Palasu* do piwnicy, przez całą jego długość ciągnącéj się, trzecie wychodzą do kilku małych izdebek *Kemnaten*, mieszkalnych samego pana *des Burgraffen*, czwarte na wązki dziedziniec do stajen i do zbrojowni. Mieszkalne pokoje pani domu, zupełnie odosobnione i na drugim rogu zamku leżące, łączą się tylko z małemi pokoikami *der Gaden, Kathen* nazywanemi, które dla fraucymeru były przeznaczone.

Otóż i cały stary zamek tutejszy: w nowym kilka większych sal i pokoi, kilka galerji ze wspaniałemi widokami na okolicę — widniéj tu już i weseléj o wiele. Z dawnych sprzętów pozostał tu tylko liczny zbiór portretów Lenghejmów, a nawet pierwszych dziedziców Emmerbergów. Pokazują tu jeszcze ciekawy zabytek, żelazną misternéj roboty maskę na zameczki zamykaną, do któréj przywiązana jest tradycja jakoby miała należeć do jednego z Lenghejmów, który wydalając się z domu, ubierał w nią zalotną swą żonę. Podanie jednak mówi, że ten manewr nie na wiele się przydawał.

Ze wszystkiego najciekawszą w Bertholdstein, jest stara gotycka kaplica zamkowa, o któréj już wspominaliśmy. Już w 1589 r. rozlegały się w jéj murach sławne protestanckie kazania, które wielki zapał w mieszkańcach okolicy do nowéj wiary podbudzać miały. Lenghejmowie katolicy wprowadzili tu jednak obrządek swojego wyznania. Są tu starożytne ich grobowce, sięgające od r. 1601 po rok 1773, w którym zakończył życie i tu wśród przodków pochowany został hrabia Karol von Leingheim, przedostatni potomek tego rodu, poseł przy dworze Portugalskim. Wszystkie ściany w kaplicy okryte są temi pomnikami, w bogate marmury i ciężkie płaskorzeźby przyozdobionemi, w smaku zepsutym, — należą one wszakże do najciewaszych archeologicznych zabytków w Styrji.

Ekonomja domowa.

Zbytek. — Znaczenie tego wyrazu. — Wydatki na przepych. — Majątki raptownie nabyte. — Szał marnotrawstwa. — Rady dla matek i gospodyń.

O zbytku rozprawiają wiele, i najsprzeczniejsze o nim dają się słyszeć sądy. Podnoszą głos nieprzyjaciele zbytku i jego stronnicy.

Warto zatem starannie zbadać co może być prawdziwem, a co błędnem w tem ocenieniu pozornie tak różnem. Spory w pewnych kwestjach prowadzone, dowodzą pospolicie że określenie tychże nie jest dokładnie wyrażonem, że między dwoma stronami istnieje jakoweś niezrozumienie się nawzajem, i to przedewszystkiem należy usunąć.

Postęp lub zmniejszenie się zbytku nie tylko powodzenia rodzin dotyczy: wpływ ich wielki na ogólną pomyślność krajową.

Jeżeli zbytek zawisł na tem wszystkiem, co wychodzi za zakres najkonieczniejszych potrzeb w mieszkaniu, odzieży i wyżywieniu, wtenczas przyznamy, że to co nazywają historją zbytku, jest po prostu historją cywilizacji; gdyż zaprawdę ona to wprowadziła stopniowo przedmioty wygodniejsze, wikwintniejsze, ozdobniejsze co do materjału i kształtu, na miejsce grubych wyrobów, które wystarczały niegdyś życiu ludów w stanie pierwotnym, dzikim.

Ztąd wynika, iż niepodobieństwem jest zakreślić granicę, gdzie się zbytek zaczyna i gdzie kończy. Najprościejsze sprzęty z początku miane były za zbytek szalony. Misy, złocenia, widelce, kominy, uważano jako wynalazki, bez których można by było obejść. Chléb był rzeczą zbytkową dla tych którzy się żołędzią karmili, i patriarcha co winnice zasadził, obdarzył zbytkownym napojem ludzi, którzy tylko wodę pijali.

Zbytek jest więc pojęciem zupełnie względnem, zmieniającem się dla ludów w miarę epok, a dla jednostek w stosunku do położenia. Dla ubogiéj dziewczyny kupienie skromnéj wstążki stanowi pewien rodzaj zbytku, zupełnie tak samo jak dla wielkiéj pani nabycie naszyjnika dyamentowego.

Cóżkolwiek bądź, temu zaprzeczyć trudno, że wszystkie sztuki, wszystkie nauki, wszystkie usiłowania przemysłu i handlu, dążą bezprzestannie ku pomnożeniu liczby tych kosztowności, powiedzmy raczéj, tych cudnych wyrobów, wyklętych przez zrzędnych filozofów, którzy im przypisują śmieszności, narowy i niemoralność, utrzymując iż postęp tych zdrożności idzie ciągle ręka w rękę z postępem cywilizacji.

Bierzmy zatem pod uwagę jedynie nowoczesną epokę, nie wkraczając po za obręb kwesji tyczących się zarządu domowego.

U przodków naszych, jeżeli byli średniego stanu, umeblowanie ograniczało się na sprzętach koniecznych do codziennych wygód, i pragnienie ich nie wybiegały po za ten zakres. Kiedy kto miał w pokoju łóżko, szafę, komodę, biórko, stolik do roboty i kilka krzeseł, zdawało się że nic już nie brakuje choć pokój był obszerny i mógłby był wiele rzeczy pomieścić w sobie. Matka rodziny miała przywiléj jedynego fotelu, na którym nikt więcéj nie śmiał usiąść. Drzewo w meblach nie bywało kostownem, nie każdy sobie mahoniu pozwalał. W bawialni dosyć było jednego zwierciadła.

Późniéj dopiero spostrzeżono, że drugie zwierciadło dobrze się wyda, a w czterech jeszcze wspanialéj przeglądać się będę kondelabry i żyrandole. Takiem to stopniowaniem przechodzi się od przedmiotów potrzebnych od zbytkownych.

Dziś podróże, handel z dalekiemi krajami, nawiozły do nas chińskie i japońskie lakki, drzewa kosztowne, zewsząd najbogatsze wyroby cudzoziemskie, emalja, porcelany perskie malowane, wschodnie wzorzyste kobierce, drogie lekkie tkaniny, weneckie zwierciadła, kryształy kunsztownie rznięte i tysiączne inne cuda. Wszystko to nęci oko i przestało być rzadkością nadzwyczajną. Stanowi to wszakże rzeczywisty zbytek, o jakim wyobrażenia dawniej nie miano, a który ogólnie pożądliwość wznieca.

W sali jadalnéj bywała zastawa z fajansu, a srebro stołowe wyobrażało kapitał.

Dziś pełno rzeczy bez istotnéj wartości. W miéjscu srebra sprzęt posrebrzany. Różnica ta charakteryzuje naszą epokę, tembardziéj że dawniéj ci którym nie stać było na srebro używali nakryć cynowych, a tych przy najstaranniejszém utrzymaniu nie można było za srebro udać. Dziś zaś trudno rozeznać, tak doskonałe są wyroby ze srebra fałszywego jak z prawdziwego. Ten rodzaj zbytku wydoskonalony do najwyższego stopnia pomaga do świetnéj wystawności, lecz nie jest bynajmniéj prawdziwem bogactwem, Względna taniość takowego kupna"wyłudza ogromne wydatki, jeżeli się damy skusić ponętą przepychu. Nie potrzeba być bogatym aby się nim wydawać: ale najłatwiéj się zrujnować udając bogactwo.

A więc przy urządzaniu domu, ważnem jest umieć sobie odmówić błahych świecących fraszek, którym tak często poświęca się rzeczywisty dostatek. Tu można dostrzedz co jest dobrego i co złego w zbytku, co stosowne dla jednych a naganne w drugich. Używanie rzeczy kosztownych, wykwintnych, wspaniałych, nie ma w sobie nic zdrożnego, jeżeli rodzina jest bardzo zamożną i wszystkie te wydatki nie nadwerężają jéj fortuny, lecz dla takich które los nie postawił w podobnych warunkach, jest to najwyższą nieroztropnością i szaleństwem.

Wszakże żaden choćby najogromniejszy majątek, nie ostoi się przy nieograniczonéj chętce kupowania. Bogaty jest ubogim, skoro nie umie naznaczyć miary swoim wydatkom. Ubogi jest bogatym, kiedy potrafi zadowolnić się tem co posiada. Prawdziwe bogactwo z ależéć będzie zawsze na umiejętności rozrządzania rozumnie swojemi wydatkami. Strzedz się potrzeba, aby dla zachceń dzisiejszych nie narazić przyszłości. Zresztą zbyteczna wielość rzeczy skończy się zawsze na uprzykrzeniu ich sobie.

Są ludzie co z rozwagą pieniądze wydają, ale do ich liczby należą bardzo rzadko ci, którzy się nagle zbogacili lub osiągnęli majątek rodzicielski.

Ten co sam pracuje zna wartość czasu i grosza, zna na czem szczęście polega i nie łudzą go zachcianki marnotrawców. Inaczéj to pojmuje ten co wieczorem biedak, nazajutrz budzi się milionerem.

(d. c. n.)

PORADNIK
DLA ZBIERAJĄCYCH RZECZY LUDOWE

NAPISAŁ

Dr. Jan Karłowicz.

(Dalszy ciąg).

F. Obchody i Gry.

Oddział ten podobno najobfitszemi u nas zbiorami się cieszy; lecz daleko mu jeszcze do pożądanéj zupełności. Obejmuje opisy uroczystości, obrzędów, obchodów i zwyczajów przy urodzinach, chrzcie weselach, dożynkach i wszelkich robotach rolniczych; przy zakładzie budowli studni, przy przenosinach, przyjmowaniu nowicjuszów; w czasie świąt dorocznych i całych okresów świątecznych (jak np. czas godowy od Bożego Narodzenia od trzech Króli, zapusty, wielki post i t. d.); przy pogrzebach, zaduszkach; dalej gry i zabawy wszelkiéj formy i rodzaju.

Kartki notować głoską F. dużą, a reszta jak w innych oddziałach.

H. Pieśni i Oracje.

„Z pieśni słowa nie wyrzucić" i „co wieś, to inna pieśń": otóż dwie wskazówki ścisłości z jaką pieśni spisywać, i obfitości na jaką liczyć należy. Jakkolwiek i ten oddział rzeczy ludowych do starannięj u nas nagromadzonych się liczy, wiele mu jednak do pełności brakuje. Nie trzeba się zresztą zrażać tém, iż pieśń mająca się zapisać już była drukowaną: lada odmiana w ilości strof, wyrazach lub nucie, czyni ją równie pożądaną,—dla tego też gdy się napotka pieśń jedną w dwóch lub więcéj postaciach, z odmianami (warjantami), to zapisywać należy wszystkie teksty lub do jednego dodawać odmianki.

Muzykę nie każdy umie zapisać; a że wielce jest pożądaną, starać się więc trzeba o notowanie jéj przy obcéj pomocy, o co nie trudno będzie; harmonizowania t. j. dodawania akordów nie potrzeba; dosyć zapisać tylko wiernie melodję w jakimkolwiek tonie i ruch jéj (tempo) oznaczyć, jeżeli można znakiem metronomowym.' Pożądane są także same melodje tańców, marszów i t. p. bez słów grywanych; i te podobnież bez harmonji notować, oznaczając tempo i wymieniając do jakiego tańca lub obrzędu służą.

Oracje z powinszowaniami, prośbą o rękę panny i t. p. zapisywać należy dosłownie, z oznaczeniem czy się śpiewają czy recytują, z muzyką lub bez niéj.

Kartki oznaczać dużém H. z wyszczególnieniem powiatu, wsi lub parafji. G. opuszczamy jako podobne do C., dla zapobieżenia pomyłkom w układaniu kartek.

(d c. n.)

KORESPONDENCJA.

Panu A. Godlew. Każdy roczny komplet Przyjaciela Dzieci od roku 1861 do 1868 włącznie, kosztuje po rs. 4 kop. 20. Z roku 1870 rs. 3. Ceny oznaczone są bez opakowania i kosztów przesyłki.

Panu W. Kieł. Słownik rusko-polski kosztuje rs. 4 kop. 90 z opłatą pocztową.

Pani Wiktorji Kle. Obrazki z Pisma świętego są do nabycia za rs. 2, — z przesyłką rs. 2 kop. 50.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 30. 1871 r.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem nie zbywało mojéj matce i na towarzystwie miłem i dość urozmaiconem. Wypadek zrządził, żeśmy się zaznajomiły z mieszkańcami jednego z sąsiednich domków, potem przybyła znajomość druga i trzecia, i jeszcze inna, a powoli zaczęłyśmy coraz szerzéj rozglądać się w tym krzątającym się i pracowitym światku skromnego przedmieścia, tak różnym od tego wielkiego świata, co tam w centrum miasta huczał i błyszczał. Nowi nasi znajomi byli wszyscy ludźmi, którzy sami rozumiejąc wartość czasu, służącego im za materjał do wyrabiania kawałka chleba i dachu nad głową, umieli poszanować czas drugich. Natrętów nie było pomiędzy nimi, a jeśli się i znalazł jaki, tośmy go prędko usunęły od siebie. Ale w dni świąteczne, w wieczory wolne od pracy, domowe kółko nasze pomnażało się kilku przyjaznemi twarzami. I tak naprzykład: niemłody profesor, któregośmy widywały często czytającego na ganku swego mieszkania i kreślącego ołówkiem na maryginesach, gdy raz zajrzał do nas, przychodził już coraz częściéj, wertował moje książki, pożyczał mi swoich, i rozmawiał ze mną o moim ojcu, którego dzieła lubił i cenił wysoko; — młoda zaś żona jego przypadła wielce do smaku mojéj matce, może dla tego, że urodzona i wychowana na wielkim świecie, obok wykształconego umysłu posiadała układ, jaki by jéj w każdym salonie zaszczyt mógł przynieść, a może też jeszcze i dla tego, że wielka miłość jéj dla dziecięcia, jakie z nieskończoną hodowała pieczołowitością, znajdywała oddźwięk w sercu mojéj matki nawskróś przejętem miłością dla mnie. I młody artysta, którego muzyka unosiła się często śród nocnych godzin nad uśpionemi dachami domków przedmieścia, wzajemnie słuchać też musiał naszéj muzyki, a raz zjawił się u nas, i w wolnych chwilach grywał potem wraz z nami. I sąsiadka nasza staruszka, wychowująca liczne grono wnucząt, zaglądała też do nas niekiedy, i wieczorami siadywała obok matki mojéj na kanapie z pończoszką w ręku, poczciwemi oczami wesoło poglądając na nas z za okularów. Była ona niegdyś właścicielką ziemską, a utraciwszy jedyną córkę i zięcia, sprzedała niewielką swą posiadłość i oddała się całkiem wychowaniu kilkorga wnuków.

Zdarzały się wieczory, w których domek nasz wrzał niby od gwaru rozmów, śmiechów i muzyki. Profesor rad, że miał się przed kim wygadać, rozprawiał ze mną o różnych naukowych i społecznych kwestjach, a czasem dawał mi rady, odnoszące się do nauczycielskiego zawodu, długiem natchnione mu doświadczeniem. Młoda profesorowa rozmawiała z matką moją o wielkim świecie, na którym spędziła pierwsze lata swego życia, z Emilką o gospodarstwie swojem, z Madzią o swoich kwiatach, a ze wszystkiemi o swojem dziecku. Madzia wraz z Binią krzątały się około przyjęcia gości, w czem pomagał jéj zawzięcie Franuś, a przeszkadzały wnuczki staréj naszéj sąsiadki, których była ulubienicą, a które jak rój brzęczący rozsypywały się po małych naszych pokojach. Młody artysta z zapałem rozprawiał o sztuce, i grywał ze mną na cztery ręce. Matka moja tak licznem i ożywionem otoczona kołem, przypominała swoje dawne czasy, i nieporównanym wdziękiem obejścia się, jako też nabytą w świecie umiejętnością stosowania się do każdego umysłu i usposobienia, stawała się przedmiotem powszechnéj czci i duszą całego towarzystwa.

Na godzinę przed północą rozchodzili się wszyscy, bo każdy myślał o tem, że nazajutrz rano wstać musi. Franuś odchodził zwykle najpierwszy, pomimo że zatrzymywały go śliczne oczy Madzi, bo jak powiadał, niedobrze by było jeśliby pomocnikom swoim dawał przykład zbyt długiego wydalania się z domu. Ja także odchodziłam niekiedy przed rozejściem się gości do mego ustronnego pokoju, aby przygotować się do jutrzejszych lekcji, szczególniéj jeśli przedmiotem ich miała być nauka, przedstawiająca większe dla wykładu trudności, albo w któréj nie czułam się jeszcze dostatecznie ugruntowaną. Tego wczesnego oddalenia się z grona gości, nikt nigdy nie miał ani za złe, a zdarzało się nawet, że zacny profesor przypominał mi, czy nie pora już, abym nie zważając na obecność obcych osób udała się do mych obowiązkowych zatrudnień. Tylko młody artysta, jak mi zwykle nazajutrz opowiadały Emilka i Madzia, zachmurzał się po mojem odejściu, i albo siadał do fortepjanu, aby wygrywać rozpaczne melodje, albo bardzo spiesznie odchodził do siebie. On zakochany w kuzynce! filuternie mrugając czarnemi oczami śmiała się Madzia — On zakochany w tobie, Wacławo! powtarzał mi o młodym muzyku Franuś, który się z nim ściśle poprzyjaźnił. Przypuszczałam, że to co mówili prawdą być mogło, ale anim to spostrzegała sama, ani spostrzegać chciałam; owszem, zdaje mi się że gdybym spostrzegła, odwróciłabym oczy aby nie widzieć. Marzenie serca mego było gdzieindziéj.., o, gdzieindziéj! a lubo cicho sprawowało się ono w kątku do jakiego zapędziłam je wolą, toć jednak czułam niekiedy, jak w samotnych szczególniéj chwilach drgało w głębi piersi, przyspieszało mi oddech, wzmożone rumieńce posyłało do twarzy.

Jedynym cieniem, który rozpościerał się na naszem domowem życiu, było ciche, wewnętrzne cierpienie Emilki. Nikt o niem prócz mnie nie wiedział; a i ja także odgadywałam je tylko, bo nigdy usta Emilki żadnéj nie wymówiły skargi, nigdy nikt łzy w jéj oczach nie widział, ani spostrzegał rozżalenia na jéj pobladłéj zawsze łagodnéj twarzy. W, nocy słyszałam nieraz, jak płakiwała długo pocichu, ale z rana już błękitne źrenice jéj wypogodzone jak niebo i przezroczyste jak kryształowe krople spokojnéj wody, witały nas uśmiechem dobroci i przywiązania. Obejście się jéj z Franusiem i Madzią nie uległo żadnéj zmianie; dla niego była zawsze jednako serdeczną i ufną przyjaciółką, dla niéj najlepszą i najpobłażliwszą towarzyszką. Tylko nie miewała już, ani nagłych rumieńców na twarzy, ani błyskawic w oczach: zagasły w niéj one razem z nadzieją. A to zaparcie się siebie i niezmącona spokojność w jaką się przyoblekła, nie bez wielkich walk i trudów przyjść musiały téj cichéj, prostéj, miękiéj duszy. Spostrzegałam nieraz, jak ręce jéj drżały śród pracy, i pierś podnosiła się tajonemi westchnieniami; jak oczy jéj spoczywające często na twarzy Madzi, zachodziły nagłą, palącą, a szybko powstrzymywaną i połykaną łzą. I patrząc na to wszystko, nie mogłam obronić się od pewnéj wyłącznéj tkliwości, dla téj w tajemnicy serca cierpiącéj i poddającéj się istoty. Nie chciała abym była jéj powiernicą, ale nie mogła przeszkodzić temu, abym się nie stała jéj pocieszycielką, i często śród nocy gdy słyszałam jéj płacz tłumiony, przychodziłam do niéj i milczącym uściskiem dodawałam jéj siły, źródło łez tamowałam, i nie odchodziłam od niéj wprzódy, aż poczułam ją wzmocnioną i uspokojoną. Nie wymagałam od niéj żadnych pustnych zwierzeń bo przeczuwałam jak trudne byłyby dla kobiety w podobnem zostającéj położeniu.

Jakkolwiek skromna i nie wiele o sobie rozumiejąca Emilka, posiadała duszę niewieścią, która nie pozwalała jéj przed najlepszą nawet przyjaciółką skarżyć się na to, że był ktoś co miłość jéj odrzucił, a może nawet nie spostrzegł iż mu ją oddawała. Wszakże wiedziała o tem, że już bez słów doskonale przenikam i rozumiem, a przyjaźń nasza nigdy tak ścisłą nie była jak w owéj porze, lubo każda z nas nosiła w sercu swem coś o czem ustami nie powiadała drugiéj.

Tymczasem i Madzia także lubo rozkochana i szczęśliwa w swéj miłości, lubo zawsze dziewiczo świeża, a niekiedy nawet dziecinnie naiwna, miewała częste chwile zadumy i smutku. Tęskniła za ojcem i siostrami, bolała nad rozdwojeniem rodziny, o którem i dawniéj już miewała przebłyski pojęcia, ale którego całą ważność poznała wtedy, gdy musiała dłań opuścić dach rodzinny, a w skutek tego ujrzała się odepchniętą i niemal zapomnianą od matki, nie mogącéj jéj poczytywać za złe tego, że szukała u nas schronienia i publicznie oddawała się pracom zawstydzającym próżność jéj i pychę. To też pani Rudolfowa nigdy nie odzywała się do córki, Rozalja pisywała do siostry listy zrazu częste, potem coraz rzadsze, nie przestawała jednak pisać zupełnie, a w pismach jéj składających się z urywanych frazesów, jakie zwykle cechowały jéj rozmowę, nie znać było wcale gniewu na siostrę, albo wyłącznego zobojętnienia dla niéj, ale odzywało się w nich głębokie zniechęcenie do wszystkiego co tylko istniało na świecie, gorycz, rozdrażnienie zmęczonego umysłu i śmiertelnie zranionego serca. Widziałam nieraz, jak z promiennych oczu Madzi spadały na pismo siostry łzy kropliste, a usta jéj drżące od żalu szeptały: biedna Rózia! Ale zaledwie w przedpokoju zabrzmiał dźwięczny i wesoły głos Franusia, zaledwie oczy jego palące się jak błękitne obłoki skwarem słonecznym rozpłomienione, rozkochanem spojrzeniem objęły uroczą postać Madzi, lice młodéj dziewczyny promieniało znowu weselem i szczęściem, albo powlekało się obsłonką rozkosznego marzenia. Była młoda, kochała, czuła się wzajem kochaną—zapominała o troskach i oddychała szeroko tą atmosferą różaną i promienistą, która otacza istotę świeżą, niezmęczoną, niezłamaną, wszystkiego jeszcze spodziewającą się od życia.

Od pana Rudolfa wieści przychodziły nie często, ale dość z jednostajną punktualnością. Listy jego opatrzone były w stemple z rozmaitemi nazwami miast i prowincji, raz przychodziły z północy, to zno-

wu z południa, to z największych stolic Europy, to ze sławnych kąpielowych zakładów, to jeszcze z górzystych miejsc Szwajcarji i Francji, kędy tłumy podróżników przybywają, dla podziwiania natury lub mody. Widocznie pan Rudolf szukał po świecie czegoś lub kogoś, gonił za czemś lub za kimś, a stosownie do tego, jak zdawało mu się, że się przybliżał do swego celu lub odeń oddalał, listy jego tchnęły rozbudzoną lub słabnącą energją. Nigdy jednak nie było w nich skargi żadnéj, ani też wyjaśnienia powodu, który go na tak długo wydalił z ojczystego kraju. Parę razy przy odczytywaniu listów pana Rudolfa, ręka mi zadrżała i serce uderzało mocno, bo ujrzałam wypisane w nich imię, którego dźwięk drgał w głębi mego serca, owinięty w przezroczystą sieć marzeń cichych lecz upartych...

Spotykali się obadwa na szerokim świecie — niekiedy — lubo każdy z nich czem innem znać był zajęty, do innego dążył celu, a za każdym razem gdy się to wydarzyło, hr. Witold słał nam przyjacielskie pozdrowienia, w których zdawało mi się że słyszałam imię moje ze szczególnym wymawiane naciskiem.... Były to zapewne złudzenia wyobraźni nic więcéj. Usiłowałam jak najmniéj zajmować się niemi, wracały jednak i dawałam im wolę niekiedy, myśląc nie bez pewnego ściśnienia serca, że złudzenia te miały być może wszystkiem, co mi danem było posiąść z dziedziny tego niezmiernego szczęścia, jakie uśmiecha się do każdego człowieka, w postaci poczutéj i odwzajemnionéj miłości.

Takim był nasz światek domowy, ciepły, serdeczny, smutny chwilami, wesoły często, czynny i spokojny zawsze. Ale prócz światka tego, posiadałam jeszcze okno, przez które patrzyłam na świat inny, nieskończenie różny od tego w którym żyłam, a zdawna dobrze mi znany. Oknem tem był dla mnie dom Zeni. Przepędzałam zaś w niém większą część czasu, a to z tego powodu, że matka moich uczennic zajmowała appartament w tym samym domu, w którym mieszkała Zenia, i na tem samem piętrze, a dobra przyjaciołka moja, chcąc mieć możność częstego widywania się ze mną, i oszczędzić mi przykrości całodziennego przebywania w zupełnie obcym domu, uprosiła krewnę swą, z którą serdeczne łączyły ją stosunki, aby lekcje młodych panien odbywać się mogły w jéj mieszkaniu. Matka uczennic moich przystała na to tem chętniéj, że lokal jaki zajmowała był w istocie dość szczupły, i nie posiadał ani jednego pokoju, odpowiadającego wszystkim warunkom, niezbędnym tak dla nauczycielki jak dla uczących się, w obszernem zaś mieszkaniu Zeni znalazł się właśnie gabinet obszerny, zamknięty, dostatecznie od bawialnych salonów oddalony, a otwartemi drzwiami komunikujący się z pokojami matki młodych panien.

Do tego gabinetu wchodziłam codziennie o 9 z rana, przez osobne z dziedzińca prowadzące schody, i zasiadałam do lekcji przy wielkim pośrodku pokoju postawionym stole, napełnionym książkami, kajetami, kartami jeograficznemi i historycznemi, globami i. t. d. Dziś jeszcze, to jest po długich latach minionych, nie mogę bez głębokiego wzruszenia wspominać o dniach, które w tym gabinecie, przy tym stole, spędziłam naprzeciw dwóch młodziuchnych twarzy, pięknych, pojętnych, chciwych światła ze słów moich czerpanego. Dziś jeszcze wyraźnie uwydatnia się w pamięci mojéj owo poczucie nieśmiałości, trwogi nieledwie, z jaką przystępywałam do każdego ważniejszego przedmiotu; ten zapał i pewność siebie, jakie mię podnosiły i ogarniały stopniowo, im więcéj sama przejmowałam się do głębi wykładem moim, i ta radość niezmierna jaka mię napełniała, gdy w oczach uczennic moich spostrzegałam odbijającą się jak w źwierciadle myśl moją własną, i ta niespokojna a razem pełna uwagi chciwość z jaką słuch natężałam, gdy pąsowe ich usta powtarzały przede mną słowa wiedzy i zdrowych pojęć, jakie miały już na całe życie uszlachetnić ich umysły i wzmocnić ich serca. W pracy méj ustanowiłam godziny przerwy, tak dla własnego wytchnienia, jak przez obawę zbytecznego znużenia moich młodych panienek. I w tych to właśnie godzinach, dom Zeni stawał się dla mnie oknem, przez które na wielki świat patrzyłam. Nic tam nie ujrzałam nowego, i przekonałam się tylko, że kto się raz świata tego nauczy, to już go na całe życie umieć będzie; świat ten bowiem nie czyni nigdy żadnych nowych odkryć, — wynajdywanie nowych słońc na firmamencie nie jest wcale jego zadaniem, ponieważ i na te które już są znane, spoglądać nie widzi potrzeby. Znajduje, że mu bardzo wygodnie w puchu, bawełnie, a choć dusi się niekiedy z braku powietrza i cierpi przez to potężnie, to jednak na wydobycie z pieluch nogi lub ręki albo na wciągnięcie w siebie zdrowego powietrza od innych przylatującego światów, energji mu nie staje.

Przemocą prawie zrazu wciągana przez Zenię do jéj bawialnych salonów, potem szłam tam dobrowolnie w chwilach na odpoczynek przeznaczonych, bo nie widziałam czemubym się miała wstydzić lub obawiać ludzi, obcych mi wprawdzie nałogami i wyobrażeniami, ale do których niegdyś zbliżoną byłam, i którzy przez to samo już wzbudzali we mnie zajęcie że byli ludźmi.

Jeżeli jednak nie wiele zwracałam uwagi na rzeczy, które w skutek własnego doświadczenia umiałam była na pamięć, to jednak z najżywszem zajęciem przyglądałam się roli, jaką w sferze swéj odegrywała Zenia.

Była ona w całem znaczeniu gwiazdą pierwszéj wielkości na firmamencie swego świata, wszystko co tylko żyło pod tym firmamentem składało hołd i czołobitność, po części jéj osobie, a po części jéj bogactwu i towarzyskiéj pozycyi. Nie zdawała się jednak wcale ubiegać za temi hołdami, nie była wcale zalotną, i owszem w obejściu się z młodymi mianowicie mężczyznami, zachowywała obok uprzejmości pewną dumę i godność, która dodawała jeszcze wdzięku jéj powierzchowności i powagi jéj pozycji. A jednak pomimo że nie ubiegała się o aplauzy i honory, rzucała się w świat z szałem, zapomnieniem się, porywem jakby fatalistycznym i nie od jéj woli zależącym. Wizyty, wieczory, gwarne spacery, świetne obiady, podróże w końcu,— oto był żywioł w którym się kąpała jak ryba w wodzie, i zdawało się jakoby ten żywioł tłoczył ją niekiedy niezmożonym ciężarem, bo bywały dnie, w których z twarzy jéj znikał bez śladu koloryt zdrowia, kibić nabierała chorobliwéj szczupłości i blada, chwiejąca się, z obwisłemi bezwładnie rękami, z oczami przygasłemi, po całych dniach siadywała w najcichszym kąciku swego pokoju, annonsującym gości lokajom powtarzając: „nie przyjmuję" a przez resztę czasu wzdychając i poziewając. Paroksyzmy te znużenia i obezwładnienia przychodziły zwykle wtedy, gdy kończył się pewien cykl marzeń wysnutych w atmosferze balowéj lub buduarowéj, gdy słowem znikał jakiś miraż przedstawiony jéj przez rozigraną wyobraźnię, a w którym zdawało się jéj że ujrzała miłość. Jeżeli ją dobrze rozumiałam, cały jéj poryw do świata miał jedyne źródło w gonieniu za podobnemi mirażami. Nie próżnością żadną powodowana stroiła się, błyszczała w salonach, szukała gwaru i tłumu ludzi,— ale pragnęła wzbudzać marzenia i rozmarzać się wzajem, a każdy ton fałszywy użyty przez tego kim się rozmarzyła, każde słówko śmielsze i ku ziemi ściągające napowietrzne jéj rojenia, budziło ją, rozczarowywało i rzucało na nowo w pustkę, zniechęcenie, nudę, z któréj to ostatniéj wywiązywał się nowy poryw do świata jakiemu złorzeczyła i jakiego odprzysięgała się przez chwilę. Myśl jéj była czystą jak u dziewicy, ale serce nie zapełnione, umysł nie zajęty, fantazja gorąca z natury a wciąż podbudzana denerwującym sposobem życia jakie prowadziła. Jak niegdyś młodą będąc dziewicą, tak i teraz marzyła o tem, aby stać się heroiną romansu; a jednak przygody jéj kończyły się zwykle na pierwszéj kartce, do zawiązku nawet intrygi nie doszło nigdy.

Pragnęła słowem, aby serce jéj zawieszone na promyku księżyca, było przedmiotem czyichś marzeń i westchnień, ale gdy tylko ktokolwiek ośmielił się rękę po nie wyciągnąć, ucinała promyk, a serce chowała do kieszonki sposzytéj z nudów.

Z tem wszystkiem stała na bardzo niebezpiecznéj drodze, bo któż potrafi orzec kędy kończy się wyobraźnia, a zaczyna namiętność, i dokąd zajść może kobieta, która będąc narzeczoną *„nie czuła serca w sobie"* a potem poczuwszy je, puściła na fale wyobraźni i znudzenia.

Michał zacierał się i znikał śród świetnego towarzyskiego koła, jakie otaczało młodą kobietę.

Widziałam go nieraz mocno pobladłym i nie mogącym utaić cierpień jakich doświadczał, nigdy jednak nie słyszałam, aby słowo wyrzutu wyszło z ust jego, ani spostrzegłam najlżejszéj zmiany w obejściu się jego z żoną. Jeden uśmiech jéj, jedno przyjazne spojrzenie, unosiło go w niebo zachwytu. Każde życzenie jéj było dla niego świętym rozkazem, a jednak nie był to człowiek pozbawiony woli i zdania. Posiadał je nawet w wysokim stopniu, a tylko uginały się one przed miłością bez granic namiętną jaką miał dla żony. A jednak jak pokazało się później, jak zresztą sądziłam zawsze, nie była to miłość ślepa... Raz po kilkotygodniowym pobycie na wsi, Michał wrócił zmieniony bardzo; w częste i długie popadał zamyślenie, a mówiąc wyrażał się z większą jeszcze niż zwykle trudnością, co zdarzało się zwykle gdy był czemś wzruszony, albo wyłączną jakąś myślą bardzo zajęty. Spytałam go co by mu było. Nie odpowiadał przez chwilę i widocznie zakłopotało go moje pytanie, bo oczy jego zamgliły się wielkiem zmięszaniem, a ręce wprawione zostały w niezwykły ruch wyszukania dla siebie stosownego ułożenia. Nakoniec potarł dłonią czoło i zawołał z niezwykłą porywczością:

— Dla czegóż miałbym się z tem taić przed panią? Wstyd mi że żyję jak ostatni hultaj nic nie robiąc, kiedy pod nosem mam własne wsie, w których jest ziemia i są ludzie, którzy mnie potrzebują.

Patrzyłam na niego ze współczuciem, bo rozumiałam dobrze, jaką męką jest dla człowieka życie nieodpowiadające moralnym jego potrzebom.

— Jestem wieśniakiem, mówił daléj, urodziłem się na wsi, ojciec mój był gospodarzem i gospodarską pracą dorobił się majątku. Potem zdało mi się, że będzie dla mnie wielkim zaszczytem, jeśli dostanę się, jak to mówią, na wielki świat, i poznają mię się i poprzyjaźnię z tym światem. Zwyczajnie jak to w młodéj głowie różne głupstwa się roją. Otóż dokazałem swego i teraz mam już tego wielkiego świata po uszy, dusi mięton, męczy... zniechęca go teraz nie mogę. Jużbym teraz rad przecie żyjąć się czemkolwiek, być czemś, coś robić... Na wsi, mój Boże, tak pięknie, tak spokojnie; a ile razy tam pojadę to aż mi się serce kraje patrząc, jak to

najemne ręce i głowy licho urządzają się z moją ziemią: chciałbym tam zrobić to i owo, i umiałbym zrobić, bo to też tylko umiem, — ale cóż...

Tu zatrzymał się, i wyraz twarzy jego stał się bardzo smutnym, lecz zarazem odbiło się na niéj piękne uczucie. Ale cóż, dokończył po chwili, czego to człowiek nie uczyni dla téj, którą nad wszystko na świecie kocha?

Powiedziałam mu, że możeby Zenia zgodziła się z jego żądaniem, gdyby przedstawił jéj wszystkie korzyści zamieszkania na wsi.

Wstrząsnął przecząco głową.

— Nie, odrzekł, jeszcze nie pora... ona się jeszcze na to nie zgodzi... może kiedyś... o, mam nadzieję; ale teraz nic ryzykować nie mogę, tembardziéj....

Tu czoło zaszło ciężką chmurą.

— Tembardziéj, dokończył cichym głosem, że mało mam do ryzykowania.

Zaraz po téj rozmowie z Michałem, udałam się do buduaru Zeni i znalazłam ją leżącą na kozetce w negliżu, bladą, znękaną, wzdychającą i poziewającą naprzemian.

Była tak znerwowana, że na odgłos moich kroków drgnęła całem ciałem.

— Ach, jak mię głowa boli! zawołała niosąc rękę do czoła; ten wczorajszy wieczór nabawił mię okropnéj migreny. A po chwili dodała poziewając: jakie to życie nudne, Wacławo! Odpowiedziałam że wcale nie znajduję je takiém. Smutnie skinęła na to głową,— bo ty jesteś wolną, rzekła, masz prawo mieć nadzieję, wszystko jeszcze przed tobą.... a ja... ach, jestem bardzo nieszczęśliwą!...

Zakryła sobie oczy, i nerwowo płakać zaczęła.

Ze smutkiem myślałam, że jeśli tak dłużéj potrwa, nie tylko ustrój moralny Zeni i tak już silnie nadwerężony, popadnie w stan najopłakańszy, ale i zdrowie jéj fizyczne zupełnemu ulegnie upadkowi. A jednak nieubłaganą logikę widziałam w jéj życiu, i bardzo konsekwentne następstwo skutków i przyczyn. Od dzieciństwa patrzyła ona na świat z za klauzury panieńskiéj, a szła do ślubnego ołtarza „nie czując serca w piersi."

Tymczasem tę zemstę ścigającą nieubłaganie wszelkie pogwałcenie wewnętrznéj prawdy człowieczéj, w daleko jeszcze straszniejszym ujrzeć miała obrazie.

W kilkanaście miesięcy po przybyciu Zeni do W. dowiedziałam się, że Zofja przegrała proces jaki była wytoczyła mężowi o swoją posagową summę, z powodu zupełnego braku dowodów, któremi by domagania się swe poprzeć mogła. Była więc ogołoconą z wszelkiego funduszu. Zenia opowiedziała mi o tem ze łzami, które wyciskało jéj oburzenie przeciwko bratu, i wstyd iż była zmuszona nazywać się jego siostrą.

Potem zapytała mię, czy nie zgodziłabym się z nią razem odwiedzić Zofję, w celu przyniesienia jéj pociechy a może i jakiéj pomocy. Zgodziłam się na to chętnie, bo lubo oddawna przestałam widywać Zofję, uważając z jéj obejścia się, iż wolałaby aby o niéj zapomniano, wzbudzała ona we mnie jednostajną zawsze życzliwość i współczucie.

Michał na żądanie Zeni wynalazł adres mieszkania Zofji. Zenia aż się przelękła, wyczytawszy nazwisko niezmiernie skromnéj uliczki, na któréj dotąd ani nogą nie pozostała nigdy. Wszakże wybrawszy dzień sposobny, udałyśmy się na tę daleką, w środku miasta nieznaną uliczkę!

Powóz nasz zatrzymał się przed domem, porządnéj ale wcale nie pokaźnéj powierzchowności. Stróż domu, któremu w bramie zadałyśmy pytanie, wskazał nam schody prowadzące na facjatkę, gdzie dy znajdywało się mieskanie naszéj dawnéj przyjaciółki. Schody były wązkie i ciemne. Zenia wstępując na nie, wydawałała co chwilę okrzyki zdziwienia i żalu. Nareszcie dosięgnęłyśmy szczytu téj niewygodnéj drabiny raczéj niż schodów, i stanęłyśmy przed drzwiami, których powierzchowność nie zapowiadała bynajmniéj wspaniałego apartamentu. Zapukałam. Proszę wejść! ozwał się z wewnątrz głos czysty i dźwięczny.

Na środku pokoju bardzo małego, bardzo czystego, oświetlonego dwoma niewielkiemi okienkami, i zapełnionego sprzętami, które, oprócz pięknego fortepjanu, były wszystkie pierwotnéj prostoty lecz zarazem nieskazitelnéj czystości, stała Zofja w długiéj czarnéj wełnianéj sukni, ozdobionéj tylko pod szyją wąziuchnym śnieżnym kołnierzykiem, z głową pysznie ustrojoną w bogate uploty warkoczów, których układ prosty a jednak wytworny, czynił ją podobną do klasyczne pięknych głów na starożytnych umieszczonych posągach.

Biała jak marmur twarz jéj, na widok nasz blado różowym zaszła rumieńcem, pąsowe delikatne wargi drgnęły parę razy, szafirowe wielkie i głębokie oczy zapłonęły ogniem zdziwienia, boleści, i dumy zarazem. Z tą dumą okrywającą wyniosłe czoło, i smukłą prostującą kibić, a złagodzoną tylko cieniem rzewności jaki się odbił w uśmiechu, wyciągnęła do nas na powitanie obie ręce. Zenia rzuciła się na krzesło i w głos prawie się rozpłakała. Na widok jéj łez Zofja wzruszyła lekko ramionami.

— Kochana Zeniu, wymówiła głosem, w którym znowu łączyły się dźwięki połączonych uczuć zdziwienia, boleści i dumy. Kochana Zeniu, bardzo ci jestem wdzięczną za twe współczucie, ale nie rozumiem dobrze jego powodów. Jeżeli płaczesz nad mojem nieszczęściem, to łzy twoje daremnie płyną: jestem bowiem tak szczęśliwą jak nigdy nie byłam w życiu.

Zenia odjęła chusteczkę od oczu i spojrzała na nią zdumionym wzrokiem.

— Szczęśliwa! zawołała, ty Zosiu, szczęśliwa jesteś wtedy, gdy brat mój odarł cię z całego majątku, gdy życie twoje bezpowrotnie złamane, gdy świat nie znajduje dość wyrazów na potępienie twojego postępowania, gdy familja twoja... Nie dokończyła, bo Zofja ściągnęła brwi nieco, czoło podniosła z większą jeszcze dumą, i głosem przytłumionym ale pewnym odrzekła:

— Świat i ja niemamy z sobą nic wspólnego; świat mnie nie chce taką jaką jestem, ja nie chcę świata takiego jakim on jest. Familji mojéj wyrzekłam się pierwéj niż ona mnie się wyrzekła, nie ja przeciwko niéj, ale ona przeciwko mnie zawiniła. Ubóstwo ciężkie jest, ale ja czuję się bogatą, tu...

Przy ostatnim wyrazie położyła rękę na sercu, i wzniosła w górę oczy, które pod wpływem zapewne tajemnéj myśli jakiejś, gorącym i promiennym zapłonęły blaskiem.

Zenia czuła z natury, a przytem rozdrażniona myślą o niegodziwym z Zofją postępku brata, z trudnością wstrzymywała się od płaczu. Co do mnie, nie mogłam od twarzy Zofi oderwać oczu, które zaszły mi także mgłą wilgotną, a przed wyobraźnią moją przesuwał się cały długi szereg chwil okropnych, które tę śliczną istotę wiodły stopniowo aż do dnia strasznego buntu przeciwko wszystkiemu co zdeptać pragnęła, a co ją jednak wzajemnie zdeptać mogło.

Widziałam ją czystą jak kryształ, młodziuchną dziewicą, ufną, niewinną, kochającą świat którego nie znała, z sercem na dnie którego paliły się jak brylanty zaczątki uczuć silnych, energji nie znającéj jeszcze siebie.

Widziałam potem, jak świat dłoń lodową położył na tych iskrach tajemniczych, i zmusił je do potajemnego wrzenia, wśród którego przerabiały się one zwolna w płomień buntu i nieposkromnionéj namiętności. Odczułam niezmierną gorycz tych długich dni, spędzonych przez nią w zimnym, pustym, milczącym domu, człowieka którym gardziła, niewysłowioną rozpacz długich bezsennych nocy, trawionych na rozpamiętywaniu okropnéj beznadziejnéj doli. Odczułam ten moment straszny, w którym po bezowocnem pasowaniu się z sobą, gorączkową ręką rozrywała ona nić wiążącą ją z całym światem. Odczułam, i zrozumiałam, i przewidziałam wiele jeszcze innych rzeczy, a w głębi ducha zawołałam: o! nieszczęśliwa, i w imię tego wyrazu gorąco uścisnęłam jéj dłonie.

Odpowiedziała mi uściskiem uprzejmym, ale nie gorącym.

Pomiędzy sobą i nami postawiła zaporę niewidzialną, ale którąśmy czuły w każdém spojrzeniu jéj i słowie; nie chciała ani pytać, ani odpowiadać, ani tłomaczyć się z niczego, ani bronić się, ani obwiniać. Należałyśmy do świata, a świat i ona mieli już na zawsze stanąć przeciwko sobie, jako śmiertelni wrogowie. Zdawało się nawet, że obecność nasza raziła jéj oczy, jako widome przypomnienie wroga, któremu nieprzejednaną wypowiedziała wojnę. Godzinę przeszło przepędziłyśmy obok niéj, a harda, skryta jéj dusza, ani razu nie otworzyła się przed nami; ani uściski nasze, ani gorące wyrazy przyjaźni, ani z serca idące ofiary pomocy i współczucia, nie wywołały z niéj by jednego wyznania, by jednéj łzy, prośby, skargi lub rzewnego zwrotu ku przeszłości. Wydawała się być posągiem rozważającym z nami tylko przez wymaganie konieczności, ale przez oczy jéj buchał płomień, który się wewnątrz palił, a śród niego obok świateł dumy i rozbudzonéj namiętności, ślizgały się mnogie, posępne lecz milczące jak grób promyki.

I tylko gdy poczuwszy nakoniec, że nieprzebyta przepaść położyła się między nami a tą kobietą, która nam jednak tak drogą była, rozżalone lecz i zmrożone zarazem w porywach serc naszych ku niéj, obie z Zenią powstałyśmy aby ją pożegnać. Ujęła nas za ręce i przeciągłem spojrzeniem popatrzyła nam w twarze. Usta jéj otwierały się kilka razy, jakby chciała wyrzec jakieś słowo wielkie, wydać okrzyk jakiś ostatni, ale zamykały się zawsze, i tylko w źrenicy błysnęła raz łza jedna wielka, lecz nie spłynęła na policzki, i prędko znikła za powieką.

— Byłyśmy kiedyś siostrami, wyrzekła nakoniec z cicha, byłyśmy podobne do siebie.... teraz wszystko skończone....

Wasze drogi nie są mojemi drogami, moja droga nigdy waszą drogą nie będzie.... jesteście ostatnim echem, które doszło mię od tego świata, który przestał być moim światem.... byłyście zawsze dla mnie bardzo dobre.... dziękuję wam, zapomnijcie o mnie jak najprędzéj.... bywajcie zdrowe!

Zakryła dłońmi twarz nagle pobladłą i odwróciła się od nas.

Może się mylę, ale zdawało mi się że załkała.....

Gdy przestąpiłyśmy próg mieszkania Zofii, miałyśmy takie poczucie w sercach, jak gdybyśmy za temi drzwiami które się za nami zamknęły, pozostawiły kogoś umarłego...

W kilka dni potem rozeszła się po mieście zdumiewająca wiadomość, że pan Władysław N. najgłośniejszy, najwięcéj szanowany i najbardziéj wzięty prawnik całéj prowincyi, opuścił W., liczną i zmartwioną tem swą klijentelę, powierzywszy ją wprzódy

dwom kolegom swoim, pierwsze po nim w opinii publicznéj zajmującym miejsce. W salonach Zeni rozprawiano o tem głośno, i przez parę dni wieść ta wychodziła ze wszystkich ust, jak mucha oplątana pajęczą siecią domysłów, komentarzy, przycinków, dwuznacznych słów i uśmiechów.

Publiczność nie mogła się dość nadziwić, że człowiek któremu tak niepospolicie się powodziło, który w krótkim stosunkowo przeciągu czasu doszedł do powszechnego poważania i znacznych dochodów, wyrzekł się wszystkich już zdobytych korzyści, zerwał z tyle obiecującą karjerą, i zniknął jak awanturnik jaki, nie pożegnawszy się z nikim,—ndając się nie wiedzieć dokąd i po co. O ile zaś był człowiekiem pożytecznym i odpowiadającym swemu powołaniu, dowodziły tego zasępione twarze jego klijentów, których znaczna liczba znajdywała się pomiędzy najczęstszymi gośćmi salonów Zeni. Nikt jednak nie wymówił przeciwko niemu ani jednego nieprzyjaznego słowa, i nikt, prócz téj niespodzianéj jego ucieczki, nie miał mu nic do zarzucenia. Dziwnym tylko sposobem, gładko, niewyraźnie wpółtajemniczo, wpół żartobliwie, pomiędzy uwagami czynionemi nad postępkiem pana N., plątało się zawsze imię Zofji, nie w bezpośredniem z jego imieniem połączeniu, coby obrażało salonową przyzwoitość, ale zamaskowane, przykryte, oplątane tą dowcipną, szyderczą, nic nie znaczącą napozór, a w gruncie morderczą grą słów, jaką wielki świat posiada zawsze na swoje usługi, czy to o życie czy o śmierć komu idzie. Aż nakoniec pewnego dnia świątecznego, gdy liczne grono zebranych u Zeni gości zasiadało właśnie do śniadania, wszedł gość nowy i po pierwszych powitalnych wyrazach, wymówił:

— Co do wyjazdu pana N. rzecz się już wyjaśniła. Pani Zofjia S. zniknęła także.

Zenia zbladła trochę na te słowa i łza zakręciła się w jéj oku; ale zarazem ściągnęła brwi z pewnym odcieniem niezadowolenia, i gościa, który chciał daléj rozwijać zapas swych wiadomości i domysłów, zapytała głośno o wybór pomiędzy pasztetem z ryb i kapłonem.

Na wielkim świecie obowiązkiem jest każdego dobrze wychowanego człowieka, rozumieć życzenia gospodyni domu, z jednego jéj mrugnienia oka, z jednego przebłysku dostrzeżonego w jéj twarzy. Goście Zeni byli wszyscy dobrze wychowanemi ludźmi spostrzegli drgnienie jéj brwi, i zrozumieli znaczenie wymówionego pytania o kapłonie i pasztecie. Nikt więc już potem najlżejszéj wzmianki nie uczynił o Zofii, a rozmowa potoczyła się innym torem wesoła i błyszcząca.

Ale także pomiędzy wesołem gronem nie myślał pewno, że w wielkiéj księdze społecznych regestrów, jedno imię zostało wykreślone na zawsze krwawą barwą hańby, a na miejsce gdzie imię to stało, zapisanym został akt pogrzebowy istoty żywéj i młodéj, a zarazem już umarłéj...

Dziś jeszcze po wielu minionych latach, żałość mam w sercu, a łzę na oku dla téj doli tragicznéj, któréj świadkiem byłam. Nie posiadałam nigdy téj cnoty najeżonéj kolcami, która bez różnicy bodzie wkoło siebie wszystko, co nie jest do niéj podobne; nie miałam nigdy téj pysznéj zarozumiałości duszy, która sama wolna od grzechu, dla grzeszących nie znajduje w sobie nic, prócz uczucia wstrętu i pogardy. Kochałam zawsze cnotę, nie dla tego że sama pochlubić się nią mogłam, ale dla tego że jest prawdą i światłem, wtedy gdy występek, to ciemność i przeczenie. Ale im więcéj kochałam cnotę, tem potężniejszą litość czułam dla tych, którzy odwrócili od niéj oblicze. Aby nienawidzieć złe, pierwiastkującego szukałam gdzieindziéj, jak w duszach obłąkanych niem jednostek. Szukałam go w tych ciemnościach, fałszach, obłędach zbiorowych, które jak demoniczne piastuny stoją nad kolebką nowonarodzonego, i potem przez całe już życie wlewają mu w pierś jady swego zatrutego oddechu. W mieczu, którego ostrze prawa ludzkości opuszczają na głowy jednostek, widziałam zawsze narzędzie bezpieczeństwa publicznego, ale nie pomsty; bo jeśliby przed obliczem sprawiedliwości najwyższéj, przenikającéj najgłębsze tajnie tych nieskończonych węzłów i gmatwanin, w jakie splątane są sprawy téj ziemi, jeśliby przed obliczem téj sprawiedliwości świadoméj wszystkiego, a żadnem ludzkiem niedościgłéj okiem, stanęły na sądy te dwie strony, tutaj w walkę z sobą wprawione — jedna rozdająca kary, druga je ponosząca, — któż wie, któż śmie zapewnić, po któréj stronie stanęłoby prawo skargi, która by z nich została uniewinniona w swym upadku, a która upokorzona w swym tryumfie? Może błądzę, może się mylę, ale takim jest głos mego sumienia, do którego baczne przykładam ucho; takim jest głos mego serca, które ze wszystkich ludzi najbardziéj kocha tych, co są nieszczęśliwi; takim jest głos mego rozumu, który z natury swéj nie ślizga się po powierzchni rzeczy, ale pragnie wnikać w głąb, na dno wszystkiego, tam kędy pomiędzy prawdą i oczami ludzkiemi, kładną się gęste warstwy utkane z powszednich uczuć i wyobrażeń, ale kędy przecie jest nie powszednia nie formułkowa i ulepiona z gliny przez człowieka, na podobieństwa człowieka, ale wiekuista, niezrodzona, razem z tym światem powstała prawda. I dla tego zapewnie że takiemi są głosy mego sumienia, serca i rozumu, nie miałam nigdy ani kropli jadu ku orzuceniu nim imienia Zofji. Niech ludzie ją sądzą, a może będą w swém prawie; ale ja com znała jéj duszę, lśniącą w zaraniu życia jak djament nieskazitelny, — ja co widziałam potem, jakiemi drogami dusza ta wiedziona była do hardego buntu i bezpamiętnéj gorączki namiętności,—ja co tak dobrze znam świat ten w którym dusza ta zginęła, i fałsze jego, i ustawy jego, i pychę, i głupotę jego, i chorobliwe życie jakie nadaje on przemieszkującym w nim jednostkom,—ja dla téj duszy zgnębionéj a dumnéj, dla tego serca co nie umiało czuć po połowie, dla tego życia, które w pełni rozkwitu, wymazane zostało z rzędu żyjących, — nigdy, nigdy, nie znajdę ani jednego słowa gorzkiego, ani jednego uczucia innego, jak litość i łzę słaną z oddali téj, która była mi niegdyś siostrą i przyjaciółką drogą.

Niech ludzie ją sądzą, i mnie z nią razem za to, że sądzić jéj nie chcę; a ja wet w sumieniu moiém nigdy sądzić nie przestanę ich ustaw, ich przesądów, ich pychy i nieudatności, które wykopują otchłanie pod stopami tych, co oprzeć się im nie mają siły.

XXIII.

Czas upływał, i od przybycia mego do W., nie jedna już kwitnąca wiosna zastąpiła białą zimę, nie jedna jesień szarą i dżdżystą osłonę zarzuciła na stare mury i wysokie wieżyce świątyń miejskich. W położeniu naszem nie zachodziła żadna zmiana, tylko wygładziły się w niem z czasem pierwotne bruzdy, przyzwyczajenie, ten wielki regulator spraw ludzkich, przesunęło się po powierzchni naszéj egzystencji i starło z niéj wszelkie początkowe nierówności. Czy na głębi téj egzystencji, również jak na powierzchni, jednostajnie było gładko i cicho?... wątpię. A nawet gdy bacznie sięgnę pamięcią w ową epokę, przypominam sobie wyraźnie chwile trudne boju i mocowania się, w których trzeba było abym wywoływała z siebie wszystkich sił moich zastęp i stawiła go w odpornéj postaci, przeciwko zewnętrznemu światu—niekiedy, przeciwko sobie saméj—najczęściéj.

Ubóstwo i praca posiadają w sobie dziwne tajemnice wielkich radości i wielkich cierpień. Ten na czyich barkach spoczęły te dwa ciężary, wiele posiadł, ale też wiele wyrzec się musi.

Wyrzeczenie się nie przychodzi nigdy bez trudu, wtedy szczególniéj gdy człowiek mniema, że się wyrzeka na zawsze.

Na zawsze brzmiało w mem umyśle, ilekroć razy marzenie o miłości i szczęściu jakie ono daje, pukało do mego serca.

Na zawsze zrzekłam się tego marzenia, i choć go całkiem odepchnąć od siebie nie mogłam, zdawało mi się, że nic już ono nie znaczy w mem życiu. Byłam pewną że nigdy nie zamieni się ono w rzeczywistość, uważałam je za gościa natrętnego, który gdy postarzeję nieco, za rok, za drugi opuścić mię. I pragnęłam aby opuścił mnie cpprędzéj, bo czasami bolało mię serce... trochę. O każdéj wiośnie szczególniéj, gdy świat cały pokrywał się szatą młodości i wesela, i gdy na przechadzkach spotykałam młode kobiety oparte na ramionach swych ukochanych, z twarzami tak promiennemi jak niebo które nad niemi błyszczało, szłam niekiedy do źwierciadła i pytałam je, czym już nie postarzała dosyć, aby gość mój dokuczliwy zechciał sobie ulecić odemnie w młodszą pierś jaką... Niestety! źwierciadło nie dawało mi téj obietnicy. Twarz moja rumieniła się zdrowiem i świeżością, oczy nie straciły ani jednego młodego połysku, a przez suknię przezroczystą dojrzeć mogłam jak serce uderzało mocno — zdawałoby się, doprawdy że coraz mocniéj. Mówiono mi że wyglądałam na lat ośmnaście. W salonie Zeni widziałam często, jak oczy młodych mężczyzn zatrzymywały się na mojéj twarzy, i długo już potem na żadną inną twarz nie patrzyły. Co więcéj! oprócz młodego artysty, który po otrzymaniu odemnie odmowy wyjechał zagranicę, aby jak mówił uleczyć się widokiem obcych krajów i sztuka, dwaj jeszcze inni ludzie ofiarowali mi serce swe i rękę. Obaj byli młodzi, zacni i bogaci. Odmówiłam jednemu i drugiemu. Jeden był z naszego świata, drugi ze świata Zeni. Odmówiłam, bo nie mogłam uczynić inaczéj. Marzenie serca mego było gdzieindziéj! Nikt o tem nie wiedział gdzie było ono, nikt, ani nawet matka moja. Gdyby o tem wiedziano, nazwano by mię pewno niedorzeczną. A jednak ja nie miałam siebie za taką, bo czułam że pozostaję tylko wierną prawdzie mego serca. Promienie wzroku mego zawisły na szczycie wysokim, niedosięgłym dla mnie jak się zdawało, i nie mogłam go już opuścić. Myślałam sobie: nie zajdę tam nigdy, ale też i gdzieindziéj nie pójdę. I byłam spokojna, i w zgodzie z sobą, i byłam nawet szczęśliwa na drodze mojéj, po któréj coraz pewniejszą stąpałam stopą; tylko niekiedy serce zabolało... trochę; tylko niekiedy śród ciszy i tajemnicy nocnéj zapłakałam... chwilę; tylko niekiedy przed oczami mojéj wyobraźni, zjawiła się smętna postać babki Ludgardy, i zwiędłemi usty szeptała do mnie... „nikt mię nigdy nie kochał" i zgasłemi oczami chwytała promienie niebieskie, na których zawisła dusza jéj pełna jeszcze nieprzepłakanéj tęsknoty. Wtedy zamykałam oczy i mówiłam sobie: i ze mną tak będzie kiedyś!

(d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Raz w lecie, w dniu pogodnym, po orzeźwiającym deszczu który całą przyrodę ochłodził i odświeżył, wytoczono po raz pierwszy fotel pana Steinlach pod wyniosłe kasztany zacieniające taras. Pani Steinlach oddalając się do zatrudnień gospodarskich, zostawiła szwagra wesołym i dość zdrowym, przy gazetach i listach, które przed półgodziną przyniesiono z poczty; przeraziła się więc niemało, gdy za powrotem zastała go w stanie gwałtownego wzburzenia, wzniecającym największą obawę. Powodem tego był list, którego treść sam pan Steinlach w wyrazach jasnych przestraszonéj opowiedział kobiecie. List donosił o bliskiem przybyciu sześcioletniego wnuka pana Steinlach. Powróciwszy przed sześciu laty z Ameryki, starzec oświadczył wprawdzie, że córka jego nieżyje, ponieważ nie żyła dla niego, ale właściwie teraz dopiero rozłączyła się z tem wszystkiem co ją do ziemi wiązało, a pan Steinlach w téj dopiero chwili uczuł, że ją ciągle posiadał i że nadzieja odzyskania jéj kiedyś, ciągle w jego sercu mieszkała.

Piękna Fanny, jedyne, żywe i rozpieszczone dziecko pana Steinlach, jak to stroskany ojciec w krótkości opowiedział szwagrowéj, uciekła przed siedmiu laty z domu rodzicielskiego za namową młodego awanturnika. Człowiek do którego przylgnęło jéj młode, niedoświadczone serce, był to niemiec, arystokratycznego pochodzenia, który jednak do swego starożytnego szlacheckiego nazwiska tak mało przywiązywał wagi, że w wolnéj Ameryce nazwał się po prostu Woodem. Wielu dało się uwieść tym podstępem: pochlebiało im bowiem, jako wolnym obywatelom, usiłowanie porównania się z nimi pod każdym względem,—upatrywali w tem skłonność do prostoty obywatelskiéj, która tembardziéj wzniecała zaufanie, gdy Wood nie był całkiem ogołoconym z funduszów. Tylko pan Steinlach był w tym względzie nie tyle łatwowiernym, gdyż znał dobrze arystokracją niemiecką, i za złe poczytywał wyparcie się nazwiska, jeżeli na niem nieciężyła żadna plama. Wood wspomniał wprawdzie kilkakrotnie, że uczynił to za względu na wyobrażenia krajowe, chcąc je na swoją korzyść wyzyskać: pan Steinlach jednak postrzegł, że nie przyjmował on różnych zyskownych zajęć, które mu niejednokrotnie robiono, i zdawał się spuszczać wyłącznie na swoje szczęście w grze hazardownéj w karty. Był to przystojny mężczyzna, przyjemny i gładki w obejściu, miał więc dosyć czasu i zręczności, aby młodemu, ośmnastoletniemu dziewczęciu zawrócić głową tysiącem słodkich wynurzeń i rozbudzić w niéj miłość namiętną. Pan Steinlach odmówił cudzoziemcowi wstępu do swego domu, a postrzegłszy powstającą w sercu córki skłonność dla Wooda, usunął jéj wszelką sposobność widywania się z nim. Ale miłość była silniejszą, wytrwalszą i przezorniejszą jak wszelka roztropność ojca. Fanny Steinlach znalazła czas i sposobność do słuchania przysiąg wiecznéj miłości i wierności, i odpowiadania na nie wzajemnością. I jakżeż żywa, młoda istota, z ognistą fantazją, nie miała rzucić się z zapałem w nowe życie, które ukochany malował jéj tak świetnemi barwami? Surowa powaga w domu ojca, którą nacechowane było wszystko co robił i co go otaczało, nie odpowiadała jéj żywemu, chciwemu wrażeń umysłowi; pragnęła używać życia wesoło, swobodnie, pod okiem miłości, która nic nie gani, w niczem się nie sprzeciwia, lecz owszem gotowa jest do wszelkich poświęceń. Wszystko to dawał jéj Wood, był dla niéj wyrozumiałym i przebaczającym, bawił ją i rozrywał, ale ojciec był mu najzupełniéj przeciwnym i stanowczo wolę swą objawił. Ucieczka więc z domu ojcowskiego została ułożoną i wykonaną. Pisząc do ojca list z pożegnaniem, prosiła go o przebaczenie i błogosławieństwo, i wyraziła nadzieję, że kiedyś sam ją przywoła do swego ojcowskiego serca, a tym sposobem naprawi niesprawiedliwe względem jéj męża uprzedzenie.

Ale serce ojca było równie jak córki niezłomne. Czuł się pokrzywdzonym we wszystkich swoich prawach. Bolała go niewdzięczność dziecka, i dla tego nadzieja uzyskania przebaczania, zdawała się mu niedarowaną zuchwałością. Wprawdzie dowiadywał się skrycie, o swojéj córce, ale bezkutecznie, nareszcie złamany boleścią, zgryzotą i nieustannem oczekiwaniem, opuścił miejsce swego pobytu. Oddalając się jednak z St. Louis, wskazał dokładnie jednemu z przyjaciół miejsce swego przyszłego pobytu, spodziewając się że przyjdzie ten czas, iż Fanny z pokorą i skruchą prosić go będzie o przebaczenie. Ale ta nadzieja zawiodła go najzupełniéj, tak dalece że nawet nie wiedział gdzie i w jakiéj stronie dziecko się jego jedyne znajduje. Krewnym swoim w Niemczech nie był w stanie odsłonić głębokiéj rany, zadanéj jego dumie i jego miłości, a chociaż gniewał się na swoją córkę, nie chciał aby ją drudzy potępiali. Opłakiwał ją jako umarłą, chciał aby ją i drudzy podobnie opłakiwali. Gdyby Bóg wskrzesił ją dla niego do skruchy i żalu, do posłuszeństwa i miłości, niechby się cieszyli razem z nim, aby jéj tylko nagana z obcych ust nie dotknęła.

Lat siedem minęło od czasu jéj ucieczki, dzisiaj dała pierwszą o sobie wiadomość. List był krótki ale aż nadto smutny, w niewielu wierszach zamykała się długa historja nieszczęść i boleści.

Wkrótce po urodzeniu się dziecięcia, mąż opuścił ją pod pozorem, iż we Francji spadło na niego dziedzictwo. Niedoświadczona kobieta, nie wiedząc co począć, czekała od dnia do dnia na wiadomość, łudząc się nadzieją lub dręcząc rozpaczą. Jedyny jéj i męża przyjaciel wywiadywał się o nim w Paryżu, a potem i w Niemczech, ale bezkutecznie. Jednak łudziła się jeszcze, od dnia do dnia, od roku do roku, a mimo tego doświadczone nieszczęścia nie zdołały poskromić wrodzonéj jéj pychy i uporu. Z reszty mienia które nędznik jéj zostawił, oraz z pracy rąk, żyła ubogo w Milwankie, karmiąc się zawsze nadzieją, że mąż powróci i miłością swoją nagrodzi wszystkie przebyte cierpienia. Ale odwaga już może dawno byłaby ją opuściła, gdyby takową nie podtrzymywała wierna i wylana przyjaźń młodéj wdowy Heleny Hood. Była ona jéj sąsiadką widziała ją po przybyciu z mężem młodą, wierzącą, szczęśliwą, żywo więc zajęła się jéj losem, gdy ją późniéj ujrzała nieszczęśliwą. Radą i czynem wspierała opuszczoną, a utrzymując sklep modniarski, nastręczała jéj sposobność łatwego pozbywania pięknych a sztucznych robótek, w których Fanny, jako dziecko matki nimki, celowała. Późniéj wzięła ją z dzieckiem do swego domu, i Fanny prowadziła wzorowo wspólne gospodarstwo, podczas gdy pani Hood oddała się wyłącznie handlowi. Wdowa usłyszawszy historję Fanny z jéj własnego opowiadania, widziała w jéj wytrwałości wzruszający przykład poświęcenia i przywiązania, jéj męża zaś, którego opuszczona małżonka chroniła zawsze od wszelkiéj nagany i wszelkiego podejrzania, i w najlepszem przedstawiała świetle, nauczyła się cenić jako człowieka honoru i nieskazitelnéj cnoty, odłączonego tylko od żony jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, co było pewne że się w krótce wyjaśni, i małżonkowie znowu żyć będą z sobą szczęśliwie.

Zgryzota jednak podkopała zdrowie młodéj, delikatnéj istoty i w obliczu śmierci, na progu wieczności, która miała położyć kres wszystkim tym złudzeniom i niewypowiedzianym cierpieniom serca, znikła ostatnia nadzieja, a zarazem i reszta dumy i uporu, co ją odpychała od domu rodzicielskiego. Zdjęta niewysłowioną trwogą o dziecko, o swego pięknego, kwitnącego chłopczynę, napisała do St. Louis, i do wiedziała się z przerażeniem, że jéj ojciec już od wielu lat opuścił Amerykę, zostawiwszy atoli dokładne rozporządzenia na wypadek, gdyby chciała zgłosić się do niego. Za słaba, aby mogła sama odważyć się na tak daleką do Europy podróż, na parę dni przed śmiercią poleciła dziecko opiece przyjaciółki, wymógłszy wprzódy przyrzeczenie, że dziecięcia nie powierzy nikomu obcemu, lecz je sama odwiezie i u dziadka umieści. Pani Hood spełniła ostatnie polecenia nieszczęśliwéj Fanny, i wziąwszy z sobą własnego synka, który był zawsze nieodstępnym małego Ryszarda towarzyszem, puściła się w zamierzoną drogę. W Londynie okradziono ją, na domiar złego synek jéj rozchorował się, a ona sama skutkiem uciążliwéj podróży była tak osłabiona, że ani myśleć mogła o puszczeniu się w dalszą podróż. Uzupełniwszy więc ostatnie pismo Fanny stosownemi objaśnieniami, posłała je panu Steinlach, prosząc aby sam odebrał z Londynu małego Ryszarda.

Taka była treść listu odebranego.

Pani Steinlach wysłuchała tego wszystkiego w milczeniu, nie przerywając w niczem szwagrowi opowiadania. Korzystała z czasu aby odzyskać przytomność i zebrać siły do myślenia i mówienia. Gdy więc pan Steinlach umilkł, odpowiadała tak spokojnie, iż nie okazała nawet śladu strasznéj burzy, która wstrząsała jéj umysłem. A była ona niemałą. Mająż więc synowie powtórnie zostać sierotami, pozbawionemi mienia, które już za ich dziedziczne poczytywała? Nie! to niepodobna, myślała w duszy, strzeż je Boże od podobnego nieszczęścia. Ponieważ pan Steinlach będąc chorym, myśleć nie mógł o wybraniu się w podróż, prosiła go więc aby jéj poruczył przywiezienie dziecka. Jakoż odjechała tego samego dnia, nie pomówiwszy wcale z synami, z których najstarszy miał już lat siedmnaście, o zmienionych nagle widokach przyszłości. Pani Steinlach była rozsądną kobietą; nie mówiła nigdy o niczem dopóki wszystkiego należycie nie rozważyła, a będąc sama na razie strapioną, nie chciała bezpożytecznemi skargami okazać się synom swoim niewdzięczną względem dobroczyńcy. Prosiła zatem szwagra, aby sam zawiadomił dzieci i innych domowników o przybyciu małego Ryszarda.

Właściciel fabryki popadł z radości w niepokój, który mu na miejscu dosiedzieć niepozwalał. O jego dobroci z jaką w tych dniach niejedną łzę swoich podwładnych osuszył, niosąc radość do najuboższéj chaty, jeszcze po wielu latach opowiadali robotnicy. Obok swego łóżka kazał postawić małe łóżeczko, z pobliskiego miasta sprowadził mnóstwo zabawek, i żył w dziecku, zanim jeszcze przybyło. Co go najbardziéj zachwycało, to serdeczna, bezinteresowna radość bratanków, którzy współubiegali się w uczczeniu przybycia dzieciny. Pan Steinlach przy-

rzekał sobie w cichości, że im tę miłość wynagrodzi po ojcowsku.

Ale zamiast upragnionego gościa, nadszedł list od pani Steinlach, list okropny, zabijający, który zwiastował starcowi takie samo bolesne odosobnienie, w jakiem serce jego ojcowskie od lat tylu cierpiało.

Pani Hood, szlachetna opiekunka osierociałego chłopczyny, umarła razem z nim na cholerę, która w swym czasie w Londynie grasowała. Wytrwawszy do ostatka przy dziecięciu, gdy mu oczy zamknęła, popadła w straszliwą niemoc, a wówczas swoje własne dziecko, poruczyła opiece rodziny Steinlach, jak jéj niegdyś poruczono małego Ryszarda. Pani Steinlach opisywała ze współczuciem, jasno i dokładnie wszystkie szczegóły, pocieszała podług swego zwyczaju rozsądnie, i prosiła aby pan Steinlach zawiadomił ją, co ma zrobić z dzieckiem pani Hood pozbawionem wszelkiéj opieki.

Odpowiedź wkrótce nadeszła. Steinlach rozporządził, że dziecko któremu podobnie jak jego wnukowi było Ryszard na imię, będzie wychowywane jego kosztem, i poleciwszy wyrazić szwagrowéj że mocno tęskni za nią, kazał ją prosić, aby spiesznie załatwiła co potrzeba, i z małym Ryszardem Hood wróciła do domu. Gdy przybyła, szwagier był wprawdzie przytomny na umyśle, ale tak wycieńczony i osłabiony, że pani Steinlach tylko z największą ostrożnością mogła o smutnym wspominać wypadku. Doświadczona i przezorna kobieta zaopatrzyła się we wszystkie potrzebne dokumenta sądowe, metryki zaślubin, urodzenia i zejścia biednéj Fanny, które znalazła pomiędzy rzeczami jéj przyjaciołki, tudzież akta potwierdzające śmierć małego Ryszarda i pani Hood. Wszystko to załatwione było tak dokładnie, że i najdoświadczeńszy mężczyzna nie potrafiłby lepiéj tego dopełnić.

Za to ciche dopełnienie, wszystkich przysług, był bardzo wdzięcznym szwagrowéj, a czując się bliskim śmierci, teraz rzeczywiście bezdzietny i osierocony, poczytywał sobie za święty obowiązek zabezpieczyć los tych, którzy dni jego samotne tak gorliwie starali się umilić. Synów więc swego brata zrobił swymi spadkobiercami, a szwagrowéj wyznaczył znaczną pensję roczną i zapewnił dożywotnie mieszkanie w fabryce. Prerogatywa ta miała trwać nawet w tym razie, gdyby jéj synowie pomarli wpierw niż ona i bez spadkobierców, w którym to wypadku fabryka miała przypaść na własność dalekiego kuzyna, wyraźnie wymienionego a noszącego także nazwisko Steinlach. Gdy testament był już gotowy, chory zdawał się cokolwiek spokojniejszym, i po kilkakroć zapytywał o małego amerykanina. Pani Steinlach przyprowadziła więc dziecko do jego łoża.

Był to piękny chłopczyna o inteligentnych rysach, którego jednak uciążliwa podróż, głęboki smutek, a wreszcie obce otoczenie, uczyniły nieśmiałym. Rozmawiając ze służbą tylko na migi lub samemu sobie zostawiony, ocknął się dopiero, gdy chory starzec przemówił do niego ojczystym językiem. Ale pan Steinlach już i tak osłabiony, rozpłakał się, pytając go o małego Ryszarda. Chłopczyna podobnież smutny a do tego nieśmiały, także płakać zaczął, co widząc pani Steinlach, odprowadziła go spiesznie, aby bardziéj chorego nie rozdrażniać. W tym pospiechu z jakim usunęła chłopczynę, było coś gorączkowego, nienaturalnego, ale starzec nie zważał na to, zanadto był bowiem wycieńczony niszczącą go chorobą.

Nazajutrz pan Steinlach umarł; tak w rodzinie, jak i pomiędzy robotnikami, żałość była ogólna i szczera. Pogrzeb odbył się wspaniale, każde życzenia, każde rozporządzenia uszanowano, kierunek zaś fabryki poruczono doświadczonemu dyrektorowi.

Wśród tych wszystkich smutnych a kłopotliwych zajęć, zapomniano o małym Ryszardzie, nikt nie widział gorzkich jego łez, które mały wylewał ukradkiem, nikt nie pomyślał, że temu dziecku serce pęka z tęsknoty i osamotnienia. Czuł biedaczek sieroctwo, choć nie umiał opowiedzieć co go przygnębia. Synowie pani Steinlach byli już nieledwie dorośli, boleść ich po stracie dobroczyńcy była za nadto świeża i za nadto szczera, aby mogli w téj chwili myśleć o obcym chłopczynie, a pani Sybilla, chociaż z mocą charakteru panowała nad swoją żałobą, była tak oddana ważnym i naglącym obowiązkom, iż sądziła, że wszystko uczyniła, gdy od czasu do czasu zapytała służącéj, któréj piecza nad dzieckiem była poruczona, o jego zwyczajne potrzeby. Milczący, blady, błąkał się chłopczyna po cienistych chodnikach ogrodu, i nie patrzył nawet na kamyczki i kwiaty, które mu podawała piastunka. Pani Steinlach uspokoiwszy się cokolwiek, odesłała najstarszego syna napowrót do pryncypała, a obu młodszych umieściła na pensji, uznając konieczną potrzebę męzkiego nad nimi dozoru, którego od śmierci stryja w domu mieć nie mogli.

Teraz mniemano powszechnie, że pani Steinlach zajmie się gorliwie wychowywaniem małego amerykanina, ponieważ dopełniła wszelkich innych życzeń zmarłego szwagra. Ale w tym względzie Sybilla trzymała się raczéj litery, a nie ducha jego woli. Rozporządziła aby dziecko było wychowywane jego kosztem: Sybilla była za nadto sumienną, aby miała obejść to jego postanowienie. Było to jednak wszystko, do czego poczuwała się obowiązaną. Pastor namawiał ją, aby dziecko zatrzymała przy sobie; sprzeciwiła się jednak temu krótko i stanowczo,— odtąd więc nikt z podobną radą nie wystąpił. Twierdzenia jéj, że chłopczyna nie potrzebuje w tej chwili niczego więcéj, prócz wzmocnienia sił jego fizycznych, pochwalał każdy kto spojrzał na wybladłą twarzyczkę chłopca. Nie dziwiono się też, gdy Sibilla oddała go na wychowanie do wdowy po nauczycielu wiejskim, kobiety poczciwéj mieszkającéj o pięć godzin drogi od fabryki, gdzie miał przynajmniéj rok przepędzić. Pomiędzy doradzającemi ten krok, nie było zapewne matki; matka byłaby wiedziała, że dziecko potrzebuje przedewszystkiem miłości. Pani Steinlach bowiem, chociaż synów kochała, nie miała jednak słodkiéj zniewalającéj czułości, która dla serc dziecinnych jest najzrozumialszym miłości językiem. Zimna i surowa zawsze w obcowaniu z drugiemi, podwójnie taką była dla chłopczyny, który też trwożliwie uciekał przed nią i do którego nigdy uprzejmego nie przemówiła słowa. Wiedziano aż nadto dobrze, że Sybilla nie była skąpą,— o małe więc wydatki na wychowanie Ryszarda nie mogło jéj chodzić; często też okazywała, że chętnie spełnia życzenia szwagra, i nikt nie wątpił o jéj dobrych chęciach. Ale mimo to nie można było zaprzeczyć, że okazywała się zawsze dla dziecka nadzwyczajnie zimną, odpychającą, i że je utrzymywała umyślnie w tem od siebie oddaleniu, w téj niemej trwodze, którą sam jéj widok onegoż przejmował.

Chociaż mówiła trochę po angielsku, zawsze jednak do niego używała języka niemieckiego. Powiadała że to lepiéj, że chłopiec musi przecież nauczyć się po niemiecku, aby mu wybić z głowy ojczyznę i przyzwyczaić go do kraju, w którym teraz żyć musi.

Było to tak roztropnem, jak wszystko co pani Sybilla czyniła; nikt się też temu nie sprzeciwiał, a tem mniéj wdowa po nauczycielu, która wzięła dziecko do siebie. Chłopiec poszedł z nią bez oporu, w milczeniu, nie płacząc wcale, z tą jakoby rezygnacyą, która zwykle łatwy znajduje przystęp do serca dziecinnego, nie doznającego znikąd pociechy i przywiązania. Widział już tyle obcych miejsc, tylu obcych ludzi, tyle spojrzeń zimnych, bez najmniejszego współczucia na niego zwróconych, małe jego serce tak było dalekie od wszystkiego, co go niegdyś nęciło i przyciągało, że wszystko było mu obojętnem.

Regularnie co kwartał pani Sybilla posyłała pieniądze wdowie, otrzymując od niéj wraz z kwitem, krótką wiadomość o powodzeniu wychowanka. Nie było tam nigdy nagany ale też i pochwała nigdy się nie znalazła. Dziecko było zawsze ciche, zimne, w sobie zamknięte, okazywało mało ochoty do zabawy, a jeszcze mniéj do nauki, jak mawiał organista, który go miał uczyć. Wdowa jednak twierdziła, że wygląda lepiéj i rośnie.

W fabryce tymczasem wszystko szło swoim trybem. Podnosiła się i ustalała z każdym dniem, a w miarę jéj znaczenia, wzrastały także bogactwa właścicieli. Sybilla widziała już w duchu swego pierworodnego syna, trzymającego wodze silną, pewną ręką, marzyła już o pięknéj dobréj synowéj, o miłych dzieciakach, które ją otaczać będą. Dla czegóżby tak być nie miało? Robert miał już lat dziewiętnaście, nie wiele więc brakowało mu do pełnoletności. Oprócz tego i pod innym względem miała prawo budować piękne plany. Był to bowiem młodzieniec nieposopolitych przymiotów, godzien miłości, którą mu wszędzie okazywano, wesoły a jednak stateczny, posłuszny syn, a jednak z silną wolą jak mężczyzna.

Pośród téj dumnéj pewności przyszłych losów, ugodził w panią Sybillą pierwszy cios, który wszystkim jéj nadziejom zagroził zniszczeniem. Ulubieniec ten będąc raz w fabryce, wyszedł zrana wesoło z strzelbą na ramieniu, a w południe przyniesiono go do domu na marach, bladego i skrwawionego, z zamkniętemi oczyma. Sam się postrzelił nieszczęśliwym wypadkiem i to w piersi. W objęciach matki wyzionął ostatnie tchnienia, nim jeszcze lekarz zdążył z pomocą.

Przy téj sposobności wyszła na jaw okropna gwałtowność, ukrywająca się dotąd na dnie serca téj kobiety. Ani głos rozsądku, ani uczucia uległości wyrokom Boskim, nic nie zdołało poskromić wybuchów dzikiéj jéj boleści. Straszną tę burzę ułagodziły nareszcie, nie słowa pociechy, nie przedstawienia, lecz własna wola odzyskująca powoli siły zachwiane.

Gwałtowna w bólu, znalazła też dość siły, aby go poskromić i powiedzieć: dotąd a nie daléj, — poczem nagle ocknęła się i z podwojoną miłością zajęła się dwoma pozostałymi synami. I ci poświęcili się zawodowi handlowemu; matka więc aby szczerbę w planach swoich mniéj delikatną uczynić, posunęła teraz najstarszego, który tylko o rok był młodszym od swegu zmarłego brata, na miejsce tamtego w czynnościach handlowych i nadała mu wszystkie te drobne prawa i swobody, jakie pierworodni synowie miewają zwykle przed młodszymi braćmi.

Nie można się było dziwić, że wśród tych smutków i goryczy, wśród przeobrażenia pierwotnych planów, pani Sybilla zupełnie straciła z oczów małego Ryszarda. Przyszedłszy nieco do siebie i zakreśliwszy kierunek obu właśnym synom, przypomniała sobie i o sierocie. Gdy skończył lat dziewięć, umiał po niemiecku czytać, pisać i rachować,—odebrała go więc ze wsi, gdzie się dotąd wychowywał i umie-

ściła na pensji w jednem z większych miast, przyczem nieomieszkała prosić przełożonego, aby nie budzono smutnych jego a ledwie przytłumionych wspomnień.

Była to ostrożność prawie niepotrzebna; chłopczyna zapomniał języka ojczystego, bo w pierwszym roku pobytu u wdowy po nauczycielu, prości ludzie wiejscy mieli dość trudności, aby się z nim w rzeczach najzwyczajniejszych rozmówić,—nikomu więc na myśl nie przyszło, ośmielać chłopczynę na tej trudnej drodze wzajemnego porozumienia się, do wylewów sercowych lub wspomnień. Gdy już umiał płynnie mówić po niemiecku, przestał budzić zajęcie; mówiono z nim tylko o rzeczach codziennych, o teraźniejszości, a tak w dziecku, które za przybyciem liczyło zaledwie lat sześć, zatarły się powoli wrażenia pierwszych lat dziecinnych, i pozostało mu w pamięci zaledwie kilka szczegółów bez związku. Zresztą w instytucie, gdzie obcował ciągle z wesołymi, dziarskiemi chłopcami, lepiéj mu było jak w szkole wiejskiéj. Pierwszą właściwością jego charakteru, którą tu w sposób uderzający objawiał, była nadzwyczajna duma. Paliło go to, że chociaż liczył lat dziewięć, umieszczony został w najniższym oddziale, i uczył się niezmordowanie, aby dogonić to co opuścił przez zaniedbane na wsi wychowanie. Smutnym stawał się tylko z nadejściem ferji, gdy wszyscy jechali do domu, spiesząc w objęcia rodziców i rodzeństwa, którzy oczekiwali synów i braci z największem utęsknieniem, podczas gdy on pozostać musiał między pustemi ławkami szkolnemi, w smutnym pokoju, zamykało się całe jego życie teraźniejsze. Ferje jego na tem się ograniczały, że nauczyciele sami potrzebując wytchnienia, wcale się o niego nie troszczyli. Nie usłyszał nigdy żadnéj nagany, żadnego napomnienia, ale też ani jednego słowa miłości.

Ach, jakże dawno, jakże dawno nikt nie przemawiał do niego tym językiem! Wiedział, że matka przemawiała nim do niego; jéj obraz dawno już zasłoniła mu mgła zapomnienia, ale jéj język rozumiał jeszcze.

Gdy Ryszard skończył lat dwanaście, pani Steinlach zaprosiła go niespodziewanie na ferje do fabryki. Nie był tam odkąd wysłano go do cichéj wioski, ale obraz dobrodziejki nie zatarł się w jego oczach, również jak obraz matki. Bo też o pani Steinlach często mu mówiono, jako o osobie któréj wszystko zawdzięcza, o matce nikt nie wspomniał. Wdowa po nauczycielu wspominała ją zawsze z bezgranicznem uwielbieniem, przełożony instytutu z uszanowaniem,—niezapomniał więc zasępionéj surowéj pani, któréj bał się zawsze. A gdy nakoniec, tak jak wszyscy koledzy zabrał się do pakowania swoich rzeczy, aby wyjechać na ferje, nie doznał tego szczęśliwego błogiego uczucia, o jakiem marzył na widok pędzącéj lokomotywy.

Pani Steinlach przyjęła go uprzejmie, ale niezbyt serdecznie; ton w jakim powiedziała, aby się rozgościł i uważał jak w domu, zdawał się wymuszonym. Chłopczyna uczuł to. Był zakłopotany i ciągle obcy, ponieważ nikt nie starał się ośmielić go, rozerwać, rozweselić. Starszy syn pani Steinlach bawił wówczas w domu, był on już od roku pełnoletnim, fabryką jednak zawiadywał ciągle dawny dyrektor, gdyż młody właściciel wybierał się właśnie w daleką podróż. W domu był ruch wielki — mnóstwo znajomych przyjeżdżało z nim się pożegnać, i matka dawała ciągle na jego cześć małe uczty. Pani Steinlach kochała tego syna nie mniéj jak zmarłego, co bowiem mu zbywało na gruntownych przymiotach tamtego, dopełniał świetnemi talentami i w niejednym względzie żywo podsycał dumę jéj macierzyńskiego serca. Wśród tego hałaśliwego ruchu, Ryszard czuł się prawie tak samotnym jak w pustéj izbie szkolnéj. Ile razy usiłował zbliżyć się do Sybilli, swojéj przecież dobrodziejki, ta odwracała się z pospiechem, który kazałby się domyślać wstrętu, gdyby nie aż nadto widoczne starania o jego dobro i wychowanie. Dwie rzeczy tylko wynagradzały chłopczynie przykrości, doznawane z téj przyczyny podczas ferji w fabryce spędzonych, z których jedna zachwycała go, a druga zajmowała. Pierwszą był park rzeczywiście wspaniały, ze swemi cienistemi alejami i piękną murawą, oblany dużą rzeką, czarujący swoją głęboką ciszą, jaka tam zwłaszcza rano i wieczór panowała. Drugą, która działała nie tyle na uczucia ile raczéj na umysł jego, były maszyny w fabryce, świadczące o potędze ducha ludzkiego, i pobudzające go ciągle do badania i rozmyślania. Godziny, dnie całe tutaj przepędzał, i nasłuchać się nie mógł objaśnień dyrektora, który znajdując upodobanie w cichym a chciwym wiedzy chłopcu, tłumaczył mu wszystko z przyjemnością. On to przepowiedział Ryszardowi, że będzie kiedyś inżynierem, co odtąd stało się jedynem marzeniem chłopca.

Zbliżył się dzień odjazdu młodego właściciela fabryki; bliżsi przyjaciele i znajomi zjechali się jeszcze raz do Bonrath na obiad pożegnalny. Na końcu stołu siedział Ryszard; nie zawsze cicho głoszone pochwały, któremi obsypywano panią domu za jéj miłosierdzie, okazane jemu, opuszczonéj sierocie, drażniły go jak zgrzyt żelaza po szkle, i palącą purpurą oblewały policzki. Nie był on niewdzięcznym, ale dobrodziejstwa te, w których nie było ani śladu życzliwości, przygnębiały go niezmiernie. Sąd w Milwankie tak chętnie przyjął oświadczenie pani Steinlach co do podjęcia się jego wychowania, że nie wiedział czy w ogóle jest jeszcze kto na świecie prócz surowéj pani, zwanéj jego dobrodziejką, coby mógł o jego losie rozstrzygać.

Dzień był bardzo gorący i nawet z nadejściem wieczoru powietrze nie bardzo się ochłodziło. Gdy goście odjechali, Otto Steinlach, który mówił wiele i któremu nadto ognisty Burgund jeszcze bardziéj rozgrzał krew gorącą, zapragnął przejechać się konno o zmierzchu.

Poklusował tak lekko i wesoło — Ryszard spojrzał ukradkiem na twarz surowéj pani, rozjaśnioną uśmiechem słonecznym, pełnym miłości i dumy macierzyńskiéj na widok dziarskiego jeźdźca. Cicho i niepostrzeżenie wymknął się chłopczyna i pospieszył do swojéj sypialni; rok szkolny wśród przyjaciół i towarzyszy był przecież najprzyjemniejszą częścią jego życia.

Około północy zbudziły go jakieś głosy i bieganie po dziedzińcu, tudzież po długich, kamieniem wyłożonych korytarzach. Był ciekawy co się stało, ale nie miał śmiałości pytać lub okazywać swoje zdziwienie; wyjrzał tylko oknem, czy nie obaczy gdzie łuny na niebie, albo może płomienia. Na niebie ujrzał tylko świetlaną tarczę księżyca, któréj blask uroczy pozwalał rozróżnić dokładnie oddalone nawet przedmioty. W stajni paliły się latarnie, których prawie z każdą chwilą przybywało, a w kilka minut później ujrzał je w rękach orszaku mężczyzn wchodzącego z bramy dziedzińca. Tu i tam ciągle biegano po dziedzińcu; pomiędzy wielu osobami Ryszard postrzegł wyniosłą postać Sybilli, która białym, nocnym ubiorem mocno odróżniała się od innych. To załamywała ręce, to szła ku bramie dziedzińca, to wracała znowu chwiejnym, jak mu się zdawało, krokiem ku ławce kamiennéj przed domem, i znowu wstawała. Tak przeszła godzina jedna, druga; chłopczynę zmorzył sen, chciał się położyć na chwilę z otwartemi oczyma. Zasnął jednak, gdy w tem zbudził go nagle tak okropny, przejmujący krzyk, że jeszcze w wiele lat potem przypominał sobie ten głos z przerażeniem. Wiedział z czyich piersi się wydarł, poznał głos Sybilli nawet w tym jęku rozpaczy. Wrażenie było tak silne, że pod jego wpływem ucichła trwoga i nieśmiałość, która zawsze odpychała go od téj kobiety, i wybiegł przez długą sień przed dom, gdzie płonęły światła i latarnie.

Tu, przed noszami uplecionemi z gałęzi, klęczała pani Steinlach i patrzyła na leżącego na nich syna, z skrwawioną, oszpeconą twarzą. Nie oddychał już, zielony las słyszał ostatni jego oddech, a dumny dąb, o którego pień strzaskał głowę młodzieńczą przyjął ostatnie jego spojrzenie. Pani Sybilla położyła się na nim bez znaku życia; bodajby się już nigdy nie obudziła!

Nikt nie mógł wytłumaczyć jakim sposobem stało się to nieszczęście. Koń który powrócił sam, wzniecił od razu domysł jakiegoś okropnego wypadku; wycie psa, który go nie odstępował, naprowadziło szukających na ślad. Leżał u stóp potężnego dębu, którego pień, równie jak mech u spodu, był skrwawiony, należało się więc domyślać że nieszczęście tutaj się stało.

Niemy i skrętwiały z przerażenia stał Ryszard, chwilę przy zwłokach, w niepewności czy i pani Sybilla nieżyje, ponieważ leżała jak martwa. W tem podniosła się, błędny jéj wzrok padł na chłopca, który stał tuż przy niéj, podczas gdy inni domownicy z trwożnem uszanowaniem otaczali ich szerokiem kołem. Chwilę patrzyła na Ryszarda, nareszcie zdawała się przypominać kim on jest, i poraz drugi wydała ten sam dziki okropny krzyk, który go zbudził niedawno.

— Precz, precz! wołała trwożliwie i groźnie zarazem, precz ztąd! czego chcesz od niego?

Konwulsyjnie cisnęła jego ramiona, odpychając go całą siłą. Ryszard byłby krzyczał, gdyby nie to, że ze strachu głos zamarł mu w piersiach. Nim przyszedł do przytomności, był już w swoim pokoju, dokąd odprowadził go dyrektor fabryki przykazując aby nie wychodził bez zawołania.

Nazajutrz rano nic nie widział i nie słyszał; w domu i na dziedzińcu panowała cisza śmierci. Po południu przyszedł dyrektor fabryki i powiedział mu, że pani Steinlach życzy sobie aby odjechał, i że jest zbyt osłabioną aby mogła z nim się jeszcze zobaczyć. Najmłodszy syn który bawił w Anglii, miał być wezwany dla pocieszenia matki. Ryszard przy swojem głęboko czującem sercu dostatecznie zrozumiał, że jego obecność jest tu w téj chwili zbyteczna.

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dalszy ciąg)

Z wilgotnéj ziemi wydzielał się zdrowy silny zapach, a czyste lekkie powietrze przelewało się chłodnemi falami. Wszystko patrzyło i uśmiechało się pięknym, letnim porankiem, tak jak rumiana świeżo umyta twarzyczka zbudzonego dziecięcia.

Nie daleko od parowu, na łączce, siedział na rozrzuconym płaszczu Wieretjef.. Marja stała obok niego oparta o brzozę, z założonemi w tył rękoma. Oboje milczeli, Marja nieruchomo patrzyła w dal; biała szarfa spadła z głowy jéj na ramiona, a wiatr przebiegający unosił końce na prędce uczesanych włosów.

Wieretjef siedział pochylony i uderzał witką po trawie.

— I cóż Marjo, pzzemówił nakoniec, gniewasz się na mnie?

Marja nic nie odpowiedziała.

Wieretjef spojrzał na nią.

— Czy gniewasz się pani! powtórzył.

Marja rzuciła na niego szybkie spojrzenie, zwróciła się nieco ku niemu i rzekła: Tak jest.

— A za co? spytał Wieretjef rzucając witkę. Marja znowu nie odpowiedziała.

— Zresztą, masz prawo gniewać się na mnie, mówił dalej Wieretjef: powinnaś uważać mię za człowieka lekkomyślnego, a nawet...

— Nie rozumiemy się, przerwała Marja, jeżeli się gniewam, to zupełnie o mnie nie idzie.

— A o kogóż?

— O ciebie samego panie Wieretjef.

Wieretjef podniósł głowę i uśmiechnął się.

— A, rozumiem! rzekł; znowu ta sama myśl trwożyć cię zaczyna, dla czego ja niczem nie zajmuje się? Wiesz co Marjo, jesteś dziwną istotą, tak wiele myślisz o drugich, a tak mało o sobie. W tobie, Marjo Pawłówno, nie ma wcale samolubstwa, jak mi Bóg miły. Takiéj drugiéj nie ma na świecie. Żal tylko, że ja rzeczywiście nie zasługuję na to przywiązanie; mówię to bez żartu.

— Tem gorzéj dla ciebie Piotrze Aleksieiczu, że czujesz to, a nie bierzesz się do czynu.

Wiertief znowu się roześmiał.

— Marjo, podaj mi swą rękę, rzekł z przymileniem w głosie.

Marja tylko wzruszyła ramionami.

— Marjo, podaj mi swą ładną, uczciwą rękę, niech ją ucałuję czule i z uszanowaniem, jak wietrznik uczeń całuje rękę swego pobłażliwego nauczyciela.

Wieretjef przysunął się do Maryi.

— Dosyć tego. Ty Piotrze Aleksieiczu ciągle śmiejesz się i żartujesz,—tak przeżartujesz i życie całe.

— Przeżartuję życie? zapytał Wieretief powstawszy, — ty Marjo Pawłówno postąpisz jeszcze gorzéj, bo ja go zmarnuje w żarcie a ty na prawdę. Czy wiesz, Marjo, że przypominasz mi jednę scenę z *Don Żuana* Puszkina. Czy czytałaś Don-Żuana?

— Nie, nie czytałam.

— Prawda, zapomniałem że wierszy nie czytujesz. Tam do pewnéj Laury przychodzą goście, ona ich wszystkich oddala i pozostaje z samym Karlosem. Oboje wychodzą na balkon; Laura unosi się nad pięknością nocy a Karlos nagle zaczyna jéj dowodzić, że ona z czasem zestarzeje się. To i cóż, odpowiada Laura, że teraz w Paryżu może być zimno i deszcz, lecz tu u nas „noc pachnie pomarańczami i laurem.“ Po co zaglądać w przyszłość? Obejrzyj się Marjo, ażaliż i tu nie pięknie? Patrz jak wszystko raduje się życiem, jak wszystko młode. A czyż i my nie jesteśmy młodzi?

Wieretjef zbliżył się do Marji, ona nie odsunęła się lecz nie spojrzała na niego.

— Uśmiechnij się Marjo, — mówił daléj tylko owym dobrym uśmiechem, a nie zwykłym zimnym jakim mnie czasem obdarzasz. Ja tak lubię twój szczery uśmiech. Zwróć ku mnie swe dumne oczy. Cóż to, odwracasz się? Podaj mi choć rękę.

— Ach Piotrze Aleksieiczu, rzekła Marja, — wiesz że nie umiem mówić. Opowiedziałeś mi o téj Laurze. Alež to przecie kobieta... kobiecie łatwiéj wybaczyć że nie myśli o przyszłości.

— Kiedy mówisz, Marjo, odpowiedział Wieretjef, ciągle się rumienisz i krew ci uderza szkarłatem na lica. Ja to szalenie w tobie lubię, Marjo, szalenie powiadam ci.

Marja spojrzała prosto w oczy Wieretjewowi.

— Bywaj zdrów, Piotrze Aleksieiczu, rzekła i zarzuciła szarfę na głowę.

Wieretjef zatrzymał ją!

— Przestanę już, przestanę, zawołał. Lecz cóż chcesz Marjo Pawłówno? Rozkazuj. Chcesz żebym wstąpił do służby rządowéj, został agronomem? Chcesz żebym wydawał romanse z towarzyszeniem gitary, ogłosił zbiór poezji, rysunków, zajął się rzeźbą, malarstwem, tańczeniem na linie? Wszystko wszystko zrobię co rozkażesz, byleś była ze mnie, zadowolona! Zawierz mi Marjo!

Marja znowu spojrzała na niego.

— To tylko są słowa, nie czyny. Zapewniasz mię Piotrze Aleksieiczu, że pójdziesz za moją radą...

— Rozumie się.

— A jednak, ileż to razy prosiłam cię...

— O co?

Marja zawahała się.

— Nie pić wina, dodała nakoniec.

Wieretief roześmiał się.

— Ech, Marjo! czy i ty także! Siostra moja również tem sobie głowę nabiła. Naprzód, ja nie jestem wcale pijakiem; a powtóre, czy wiecie dla czego ja piję?

Patrz, Marjo, oto na tę jaskółkę. Widzisz jak ona śmiało rozrządza swojem maleńkiem ciałem, rzuca się gdzie się jéj podoba. Oto wzbiła się w górę, to znowu spuściła na dół, nawet pisnęła z radości słyszałaś? Otóż to ja dlatego i piję, żeby doznawać tych samych wrażeń, jakich doznaje ta jaskółka......

Pędź sobie gdzie chcesz, unoś się gdzie ci się podoba....

— Lecz na cóż to wszystko? przerwała Marja.

— Jak to, na co? a jakżeby żyć?

— A czyż bez wina żyć nie można?

— Niepodobna, my wszyscy zepsuci, skalani I ta.. namiętność podobny wpływ wywiera. Dla tego ja cię kocham, Marjo......

— Jak wino... dziękuję bardzo.

— Nie, Marjo; ja cię kocham, nie jak wino. Zobaczysz kiedyś, jak się pobierzemy i pojedziemy za granicę. Czy wiesz, Marjo, zawczasu wyobrażam sobie, jak cię przyprowadzę przed Milotyńską Wenerę. Jakże w porę powiedzieć będzie można:

Jest ich dwie, lecz ta z marmura rzeźbiona
Zda się być przy żywéj zawiścią dręczona.

Lecz co to ja dzisiaj wierszami mówię? To poranek ten widać, tak na mnie działa. Co za powietrze! zdaje się że wino popijam....

— Znowu wino, rzekła Marja.

— Cóż dziwnego! Taki poranek, i ty Marjo przy mnie, jakżeż nie mam być odurzony!

— Jaka powaga w oczach, dodał po chwili milczenia, — a jednak pamiętam, widziałem czasami te ciemne, wspaniałe oczy, widziałem je czułemi. Jakżeż wtedy były czarujące! Lecz nie odwracaj się Marjo, chociaż się roześmiéj.... niech ujrzę oczy twe przynajmniéj wesołemi, jeżeli już nie chcesz obdarzyć mię swem czułem spojrzeniem.

— Przestań już Piotrze Aleksieiczu, rzekła Marja, — puść mnie, już czas wracać do domu.

— A jednak ja cię rozweselę, Marjo! przerwał Wieretjef, rozweselę jak mi Bóg miły. Oto patrz, tam zając bieży...

— Gdzie? zapytała Marja.

— Tam, za parowem na owsisku. Ktoś zapewne go spłoszył, bo zające rankiem nie biegają. Chcesz Marjo, to go zaraz zatrzymam?

I Weretjef głośno gwizdnął. Zając natychmiast przysiadł, zaczął poruszać słuchami, skurczył przednie łapki, na tylnych wyprostował się, zaczął przeżuwać, wąchać w powietrzu i znowu przeżuwać. Wieretjef zręcznie siadł na nogach swych na podobieństwo zająca, zaczął także wąchać i przeżuwać jak on. Zając poprowadził parę razy łapkami po mordce, otrząsnął się, — widać były zmoczone od rosy, nastawił słuchy i puścił się daléj. Wieretjef potarł sobie także twarz rękoma i otrząsnął..... Marja mimowolnie roześmiała się.

— Brawo! zawołał Wieretjef i powstał. Brawo! Jak to widać zaraz że nie jesteś zalotna, Marjo. Czy wiesz, że jeśliby która z dam wielkiego świata, miała takie ząbki jak twoje, to wiecznie by się śmiała. Ale za to też i kocham cię Marjo, żeś nie modna dama, że nie śmiejesz się bez potrzeby, że nie nosisz rękawiczek na swych rękach, które tak przyjemnie pocałować, dlatego że ogarzałe i czuć w nich siłę... kocham cię za to że nie mędrkujesz, żeś dumna, małomówna, książek nie czytasz, wierszy nie lubisz....

— Jeżeli życzysz sobie Piotrze Aleksieiczu, to przeczytam ci wiersze, przerwała Marja z dziwnym jakimś wyrazem w twarzy.

— Wiersze? z podziwieniem zapytał Wieretjef.

— Tak jest, wiersze, te same które czytał wczoraj ten petersburski gość.

— Znowu *Anczar*?.. To pani rzeczywiście deklamowałaś go w nocy, w ogrodzie?.. czy ci się tak podobał?

— Tak jest, podobał mi się.

— Przeczytaj pani.

Marja Pawłówna zawstydziła się.

— Czytaj pani, czytaj, powtórzył Wieretjef.

Marja zaczęła czytać. Wieretjef stanął przed nią założywszy ręce na piersiach i zaczął słuchać. Przy pierwszym wierszu Marja zwolna wzniosła spojrzenie ku niebu, widocznie unikała wzroku Wieretjewa. Czytała równym miękkim, głosem, przypominającym ton wiolonczelli, lecz gdy doszła do wiersza:

"I umarł biedny niewolnik, u nóg
Niezwycięzonego władzcy.....

głos jéj zadrżał, brwi wzniosły się z naiwnością dziewczęcia i wzrok z mimowolnym wyrazem uczucia zatrzymał się na Wieretjewie, który w téj chwili rzucił się jéj do nóg i zawołał:

— Ja twój niewolnik — ja unóg twoich — ty moja władczyni — moja bogini — moja Medea.—

Marja chciała odsunąć go, lecz ręce jéj opadły na gęste jego włosy, i z uśmiechem pomięszania głowę skłoniła na piersi. (d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 29.

Dokończenie Nr. 27.

Muszki otrzymują się, gdy do ostatniego oczka przykońcu rzędu, a do przedostatniego na początku rzędu robiąc łańcuszek, przyrobi się jeszcze 4 oczka. Kilkoma ściegami odrobione małe, różane pączki, ładnie odbijają na białych plisach, zakończonych brzegiem przejrzystym, szydełkowym szlaczkiem. Pierwszy rząd odrobiony jest o. śc. następnie jeden rząd sł. rozdzielanych 1 o, pow. takiż rząd pod. sł. znowu rząd pojedynczych sł. i 1 rząd śc. oczek. Wstążka od wałka przyszywa się z boków pod kokardami.

N. 28—29. Dwa narożniki na kanwie Jawa.

Materjał: biała, popielata albo żółta kanwa Jawa; cienka włóczka (Mooswolle).

Podane przez nas wzory mogą służyć na serwetki do herbaty, przykrycia stołu, pataraſki itd. Brzeg serwetki oszywa się frendzlą wysiepaną z materjału lub osobną. Odrobiony deseń na N. 28 na żółtéj kanwie, w dwóch kolorach lila, ściegiem luźnym i złotemi krzyżykami; N. 29 odrobiony jest na tle białem, brązowym kolorem, dużemi krzyżykami na 4 nitkach.

N. 30. Suknia ze stanikiem pod szyję i karoczkiem.

Suknię z popielatego fularu wełnianego, oszywa się najprzód u dołu dwiema 4 cent. szerokiemi pliskami. Po nad temi dany wolant 24 cent. szeroki; fałdy przyszyte są w pośrodku do sukni. Przyszycie wolantu przykrywa bufa ze skosu 11 cent. szerokiego, ułożonego w kontrafałdy. Na falbankę od dołu spuszczoną, materjał składa się we dwoje. Oszycie 8 cent. szerokie, ułożone z 4 rzędów plis, zakończonych w górę idącą wysiepaną falbanką 4 cent. szeroką i czarną koronką, naszytą jak wzór wskazuje, dopełnia przybrania spódnicy. W miejsce czarnéj koronki dana być może biała „bruges“ albo gipiura.

Karoczek przyszyty do paska z plisek, składa się z trzech części. Część tylna założona u góry w dwie kontrafałdy i zaokrąglona u dołu, jest 27 cent. długa, 54 centy. szeroka. Obie przednie części ścięte w ząb u dołu a ku górze skośno, liczą po 17 centym. przedniéj i 10 bocznéj długości; w górze z brzegu prostego 20 cent. szerokości. Koronka i rusza jedwabna wysiepana 3 i pół cent. szeroka, stanowi zakończenie karoczka. Pliski, rusza i haft zdobią stanik gładki, zapinany na guziki.

N. 31. Ubranie z okryciem wierzchniem z grenadiny.

Krój z wierzchniego okrycia patrz ryc. 16 i 17 w N. 18 Tyg. Mód.

Na suknię z białéj alpagi ze stanikiem pod szyję i wązkimi rękawami narzucone zwierzchnie ubranie, z białéj grenadiny w rzucik z szeroko otwartemi rękawami.

Garnirunek toalety przedstawionéj pod N. 31, składa się z wolantu 35 cent. szerokiego z dwoma wązkiemi, marszczonemi falbankami, którego przyszycie przykrywają 3 pliski i w górę naszyta marszczona falbanka. Te trzy falbaneczki 5 i pół c. szerokie, są oszyte czarną jedwabną wypustką. Zwierzchnia suknia podniesiona z boków i z tyłu w trzy głębokie fałdy, jest z tyłu 136 cent. długa, u dołu 330 cent. szeroka. Zakończenie stanowi 2 — 5 cent. szeroka, czarna koronka i 6 i pół cent. szeroka jedwabna marszczona falbanka, między któremi dana biała jedwabna wypustka. Wązkie białe rękawy są naszyte przy ręce falbanką z grenadiny i pliskami.

Karoczek z grenadiny, podłożony alpagą, wymaga kawałka zaokrąglonego u dołu 15, cent. wysokiego, w środku 60 cent. długiego, który w górze przez założenie kontrafałdy, zwężony jest do 20 cent. i wszyty w pasek alpagowy z czarnemi pliskami. Przyozdobienie stanowi czarna koronka, pliski i kokarda na pasku z alpagi i koronki.

N. 32. Suknia z perkalu „écru“ dla młodéj panienki.

Suknia ta odrobiona jest tą formą co i biała pikowa pod N. 1. Tu materjałem jest perkal w pięknym cieniu koloru écru; pliski są z tegoż materjału w ciemniejszym kolorze. Frendzla stanowi zakończenie tuniki i przybranie stanika.

N. 33. Suknia z garnirunkiem z muślinu i koronki.

Jakkolwiek materja jedwabna przedstawia się bardzo pięknie na gładkiéj sukni, jednak może być równie dobrze zastąpioną jednokolorowym perkalem, mającym połysk jedwabiu; szczególniéj też pasują tu świeże bawełniane atłasy w rozmaitych kolorach. Spódnica przybrana jest 12 cent. szeroką, potrójnie założoną plisą muślinową, na któréj w równych odstępach naszyte są bukiety wycinane z koronki bruges. Węższa fałdowana plisa otacza obcisłe rękawy, na staniku zaś zapięta chusteczka muślinowa Marie-Antoinette, zakończona 5 cent. szeroką przefałdowaną plisą i bukietami koronkowemi. Garnirunek pod szyją stanowi wązka falbaneczka muślinowa, z wązką koronkową wstawką.

N. 34. Suknia muślinowa z płóciennemi pliskami.



N. 1. Sukienka z tuniką i kaftaniczkiem z baskiną dla małéj dziewczynki.

N. 2. Sukienka pikowa z muślinowem przybraniem.

N. 3. Ubranie chłopczyka.

N 4 Sukienka z płótna „écru" zobaczdeseń na haft ryc: 26 w N. 30 T. Mód.

Suknia ta może być podług gustu odrobiona z tuniką lub karoczkiem i noszona na białéj lub kolorowéj półbatystowéj spódnicy. Garnirunek z wolantu, liczącego w całéj szerokości 30 cent. składa się z szerokiéj falbany, zakończonéj wąziutką falbaneczką i plisowaniem. Takież plisowanie i falbaneczka stanowią nagłówek. Plisowanie zakończone jest płóciennemi pliskami. Takiż gustowny garnirunek z plisowania i płóciennych plisek, zastosowany jest do szerokich rękawów i do stanika.

N. 35. Suknia ze zwierzchniem ubraniem z grenadiny w paski.

Nie tylko do jedwabnych lecz i do wełnianych, szczególniéj też alpagowych sukien, bardzo modne jest zwierzchnie pokrycie (vêtement) z grenadiny lub gazy kolorowéj, na kolorowéj sukni, lub z czarnéj do każdego koloru. Szczególniéj też noszona jest grenadina czarna w świecące paski lub gaza w kwiatki przerabiana, które powinny być odpowiednie kolorowi dolnéj sukni. Zwierzchnie pokrycie przedstawione jest z tylu na rycinie 31. N 35 przedstawia suknię z materji w jednym kolorze, zakończonéj wolantem, z nagłówkiem z ruszy i plisek. Pokrycie z grenadiny w paski, oszyte szeroką koronką i jedwabną falbanką lekko nadmarszczoną. Kokarda z szarfą z pięknéj rypsowéj wstążki koloru sukni, zajmuje miéjsce karoczka.

Opis N. 30.

N. 1. Sukienka z tuniką i kaftaniczkiem z baskiną dla małéj dziewczynki.

Odrobienie téj sukienki jest z jednego materjału w dwóch cieniach, jaśniejszym i ciemniejszym. Gładka sukienka dolna ze stanikiem pod szyję i wązkiemi rękawkami, odszyta z materjału w jasne i ciemne paski. Zwierzchnia tunika przemarszczona i podpięta kokardami i kaftaniczek z baskiną, szerokiemi rękawami i chusteczkowym kołnierzem, jest z materjału ciemnego z jasnem przybraniem. Stojący kołnierzyk i mankietki z białego muślinu. Okrągły słomkowy kapelusz z dużem rondem, przybrany rypsową wstążką i kwiatami.

N. 2. Sukienka pikowa z muślinowem przybraniem.

Ten rodzaj sukienki, najlepiéj się wydaje z białéj cienkiéj piki rypsowéj, z falbankami z przezroczystego muślinu. Tunika z fartuszkiem z przodu i ze stanikiem w kształcie szelek, ma podwleczoną bluzkę białą muślinową z wązkiemi rękawami. Fason ten odrobiony być może z perkalu „écru" muślinu albo z wełnianéj materji.

N. 3. Ubranie na wieś dla chłopczyka: bluzka i majtki.

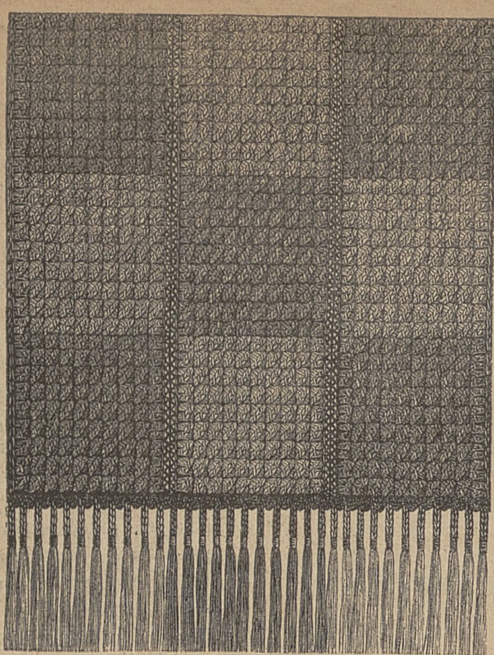
Forma ubrania znana i używana oddawna, jest prostą lecz zręczną i praktyczną. Model dzisiajszy, odrobiony jest z mocnego drylichu, w brązowe i żółte paski, z szerokiem obłożeniem, lampasami, patkami i paskiem w brązowym kolorze. Biała wypustka i perłowe guziki, ładne stanowią przybranie.

N. 4. Suknia z płócienka „écru" przybrana haftem.

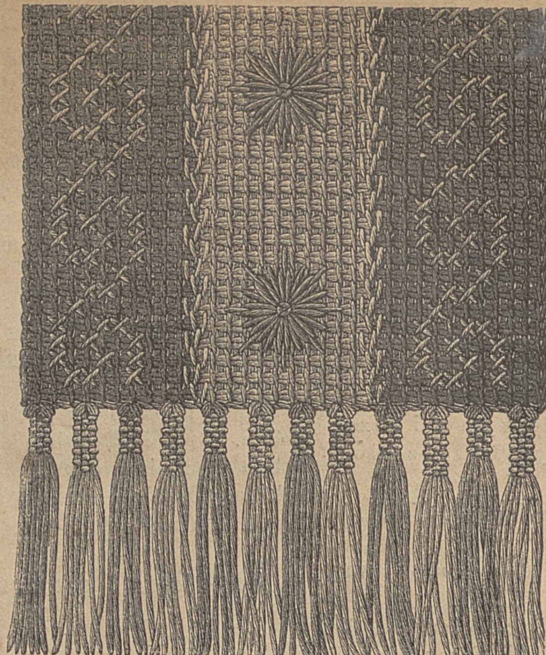
Do sukien z cienkiego żółtego płócienka, bardzo używanego na lato, ładny i świeżego gustu garnirunek, stanowi rzadki haft, krętą białą bawełną. Ładne odrobienie sukienki dokładnie wskazuje N 4, a wykonanie haftu, podanego w na-



N. 6. Ścieg szydełkowy na dywanik do ryc. 5.



N. 5. Dywanik szydełkowy z włóczki kastorowéj.



N. 8. Dywanik szydełkowy z angielskiéj włóczki.



N. 7. Ścieg tunetański na dywanik do ryc. 5.

turalnéj wielkości na rycinie N. 26, nie potrzebuje już opisu. Okrągły słomkowy kapelusz, przybrany puklami aksamitnemi i welonikiem.

N. 5—8. Wzory szydełkowéj roboty na dywaniki.

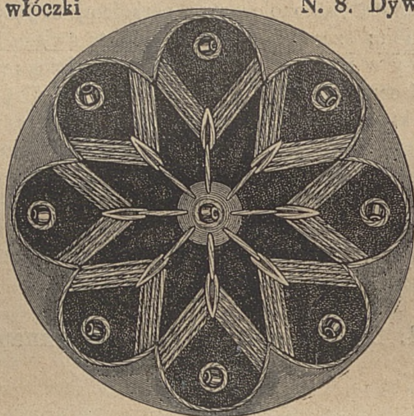
N. 5—7. Szydełkowe kwadraty z kastorowéj włóczki.

Ryciny te podają tak dokładną robotę ściegu szydełkowego, iż opis jéj byłby zbyteczny; kwadraty nie zszywają się z pojedynczych części, lecz robią przy jednym łańcuszku, dwoma kolorami naprzemianę. Zakończenie brzegu stanowią pikoty, odrobione także szydełkiem z 5 o. pow. i 1 o. śś. w pierwsze z powietrznych. Przez te pikoty przejmowana jest frendzla z 6 nitek, przewiązanych siódmą.

N. 8. Robota szydełkowa z angielskiéj włóczki wyszyta jedwabiem.

Wtym dywaniku pasy odrobione są zwykłym tunetańskim ściegiem, dwoma kolorami. Wyszycie dokładnie oznacza rysunek; frendzla wiązana jak to widać na N 8. białym jedwabiem, składa się z 7 nitek dwóch kolorów.

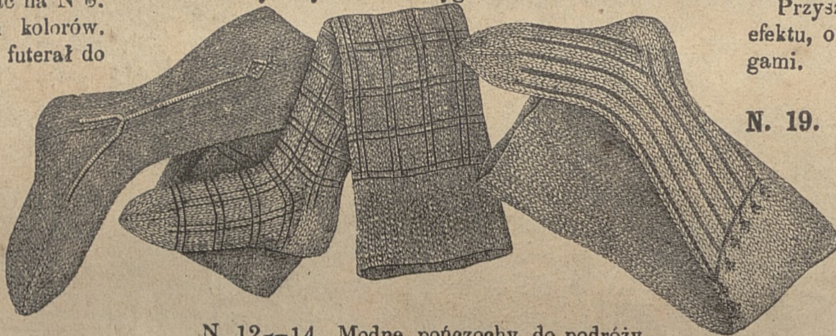
N. 9—11 podają rozetę i dwie cyfry na futerał do kubka i lusterka podróżnego, podanego w Numerze 29 T. Mód.



N. 9. Rozeta do przykrywki pudełka z kubkiem podróżnym ryc. 19 w Tyg. Mód N. 29.

N. 12—14. Modne pończochy.

Pończochy te do podróżnego lub wiejskiego ubrania, odrobione z cienkiego jedwabiu lub nici, odpowiednie bywają do materjału letniego sukni. N. 12 przedstawia pończochę jedwabną wyszytą białem jedwabiem, do sukni écru. Do kolorowych perkalików stosowną jest pończocha N. 13, przerabiana w kratkę kolorowym jedwabiem. Na N. 14 podłużne paski są ręcznie wyszyte.



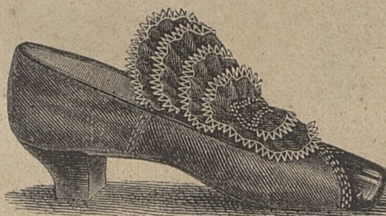
N. 12—14. Modne pończochy do podróży.



N. 10. Litery do znaczenia ryc. 17 i 21 w N. 29 Tygodnika Mód.

N. 15—18. Modne buciki.

Moda krótkich sukien z przodu, wymaga nie tylko dogodnych, lecz zgrabnych i strojnych bucików, dla tego też podajemy tu wzory obuwia podróżnego, spacerowego i do kąpieli.



N. 15. Trzewik z aksamitną rozetą.

N. 15. Trzewiczek z rozetą.

Odrobiony z cienkiéj czarnéj skóry stosowny jest do każdéj domowéj toalety. Wielka rozeta odszyta jest skosu aksamitnego, oszytego wązką, białą koronecz-ką. Naszywa ją się na mocnym kliniku, a dla zapobieżenia od zaczepiania suknią, zapina się na gumową pentelkę na kostce.



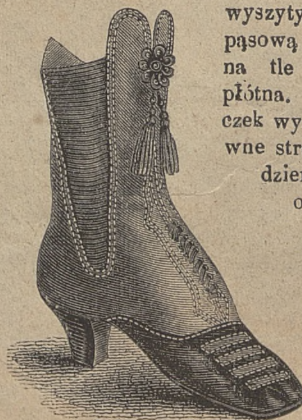
N. 16. Bucik wysoki z patką na guziki zapiętą.

N. 16. Wysoki bucik z patką zapiętą na guziki.

Model odrobiony z cienkiéj czarnéj kozłowéj skóry, z lakierowanym noskiem. Środkiem idzie równo rozszerzająca się w zęby wycięta patka, z obu stron zapinana na guziki. Rozeta ze wstążki rypsowéj, naszyta na cholewce, stanowi przystrojenie.



N. 18. But podróżny lub do konnéj jazdy.



N. 17. Bucik z bokami gumowemi.

N. 17. Wysoki bucik z gumą.

Odpowiednio do sukien écru, model odrobiony jest z żółtawéj skóry. Sznurowanie z przodu dane tylko dla ozdoby. U góry rozeta i kwaściki odpowiedniego do skóry koloru.

N. 18. Bucik podróżny lub do konnéj jazdy.

Odrobiony z cienkiéj, glansownéj skóry, przystrojony białem stębnowanem wyszyciem, służy tylko w dalekich wycieczkach w góry lub do konnéj jazdy.

N. 19—21. Dwie lambrekiny.

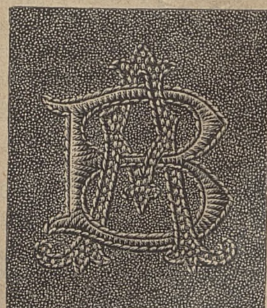
Materjał: biały, żółty i popielaty kiprowany perkal lub pika, pąsowa i czarna wełniana plecionka; mocne białe kręcone nici, pąsowa bawełna używana do znaczenia bielizny albo włóczka angielska.

Obie lambrekiny odrobione są z materjału do prania, dla zastosowania ich do koszyków na drobiazgi, na kwiaty, do koszyczków ściennych i małych pokojowych etażerek, lub też przy kolebkach.

Przyszycie różno kolorowych kawałków, dla większego efektu, odrobione jest pąsowemi, czarnemi i białemi ściegami.

N. 19. Lambrekina z gałązkami koralowemi.

Gałązki koralowe odrobione są kolorem pąsowym, na białéj pice, kwiateczki zaś białą nitką, z węzełkami w środkach. Naszycie zęba odrobione w dwóch kolorach naprzemian, jasno i ciemno popielatym; dzierganie nitką pąsową, krzyżyki białe, gałązki pąsowe ściegiem cierniowym. Rząd ząbków odrobiony jest nitką białą, robotą koronkową; górne ząbki dziergane nitką pąsową, punkciki białe. Frendzla biała.



N. 11. Litery do znaczenia ryc. 17 i 21 w N. 29 Tygodnika Mód.

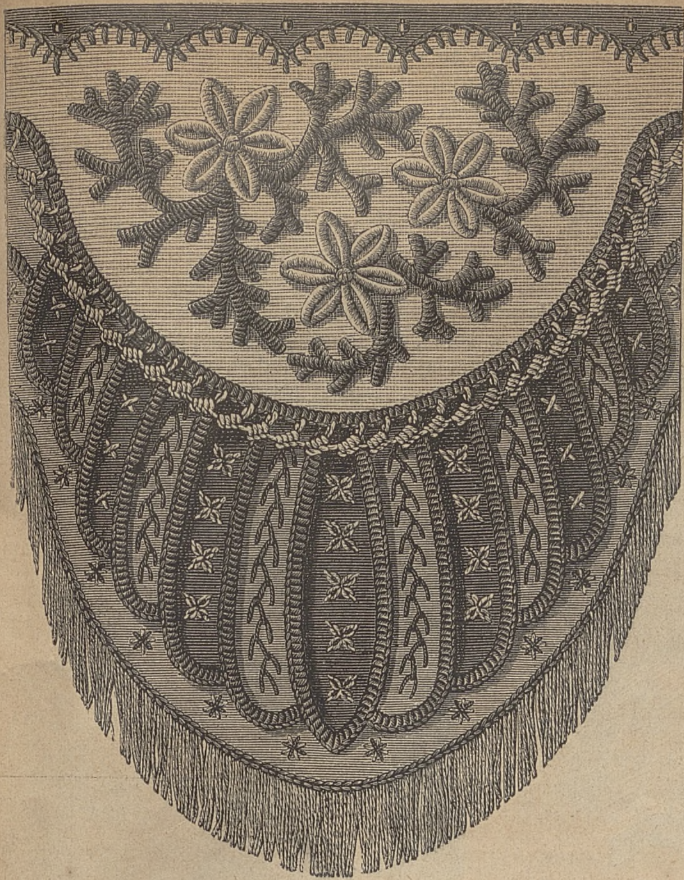
N. 20—21. Lambrekina w paski.

Górny ząb przystębnowany na paskach, jest wyszyty nitką białą, pąsową i sznureczkiem, na tle z popielatego płótna. Dolny szlaczek wyszyty w przeciwne strony zwróconym dzierganiem, jak to N. 20 wskazuje. Górny ścieg odrobiony kilkoma kolorami, wskazany jest na osobnym wzorze N 21. Część lambrekiny w paski, przedstawia na białéj pice naszycie pąsowéj i czarnéj plecionki, przytwierdzonéj nitkami w tychże, lecz przeciwnie wziętych kolorach. Każda plecioneczka założona jest w ząb zakończony kwastem.

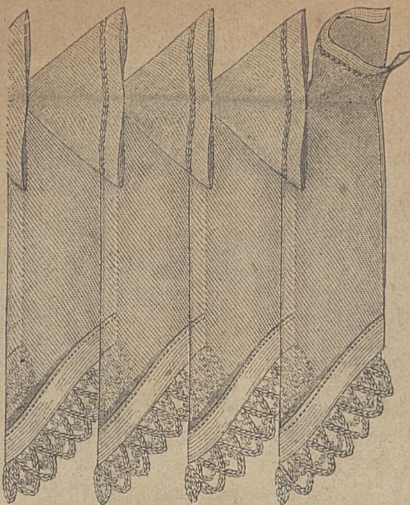
N. 22—29. Rozmaite garnirunki do sukien i cienkiéj bielizny.

N. 22. Garnirunek z plisowanego skosu.

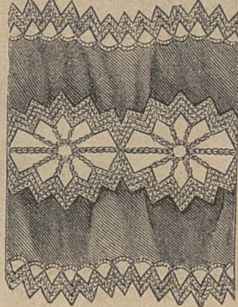
Garnirunek ten, może być równie dobrze ułożony z cienkiego wełnianego materjału, jak też z materji, mu-



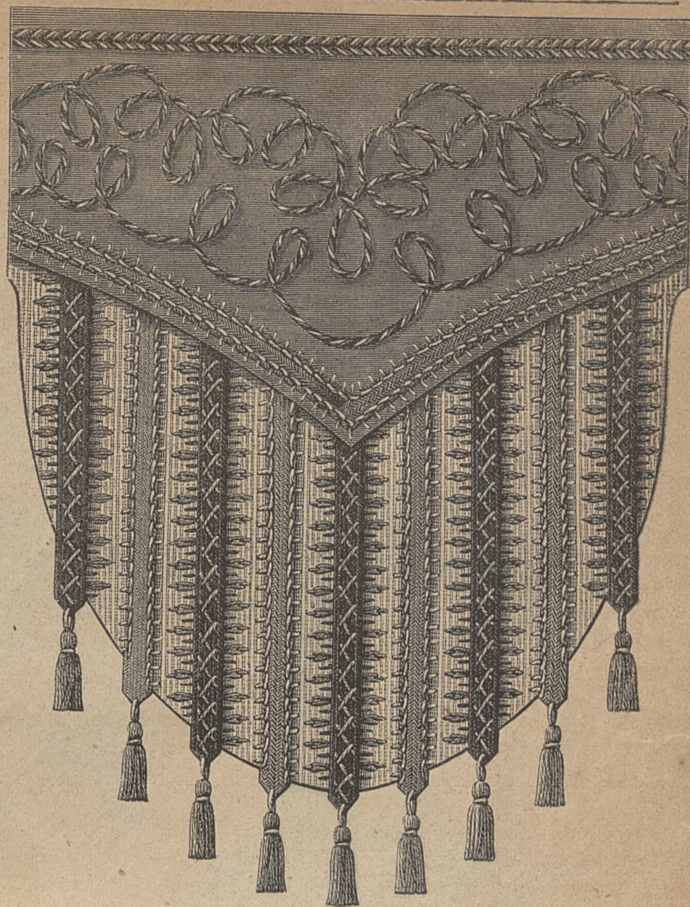
N. 19. Lambrekina wyszyta w koralowe gałązki.



N. 22. Garnirunek do sukien.

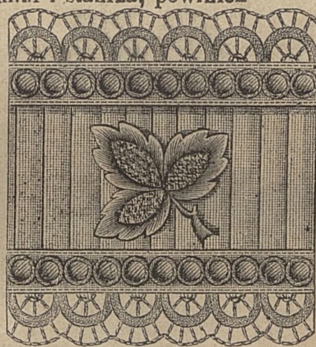


N. 23. Garnirunek do letnich sukieu. Do ryc. 42.



N. 20. Lambrekina w pasy. Haft na pice. Zobacz ryc. 21.

ślinu, batystu „écru", albo nawet z gazy i grenadiny. Do sukni układa się garnirunek z pojedynczych skosów 16—18 centy: szerokich. Do tuniki i stanika, powinien być odpowiednio węższy. Górny, zwierzchni brzeg każdéj fałdy, założony jest w obrąbek i przeszyty łańcuszkiem u dołu; obrąbek przestębnowany do przyszycia ząbków. Obrąbek ten do muślinu jest z pliski szyrtyngu ³/₄ cent: szerokiéj—do innych materjałów może być aksamitny lub jedwabny. Założenie skosów jednego na drugi i zaszycie ząbków górnych, wskazuje rycina N. 22.



N. 24. Muślinowy garnirunek z haftem i koronką do sukien.



N. 21. Próbka wyszycia do ryc. 20.

N. 23. Garnirunek z tasiemeczką w ząbki do sukni z batystu „écru" lub perkalu.

Do ryciny 42 w Numerze 30.

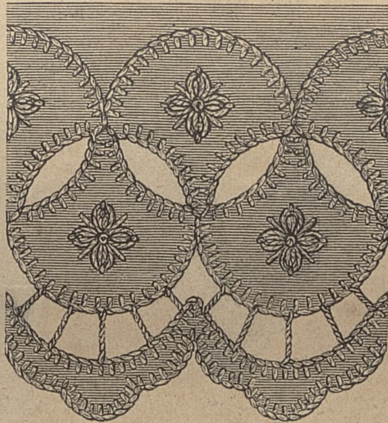
Małe medaljony, wszyte do lekko nadmarszczonéj falbanki, odrobione są tymże sposobem, co i pokrycie do wałka pod głowę, rycina 25 w N. 29 Ty: Mód, z tasiemeczki i roboty szydełkowéj. Oba brzegi falbaneczki, oszyte są również ząbkami.

W miejsce plecioneczki użyte być mogą medaljony i ząbki, imitujące haft gipiurowy.

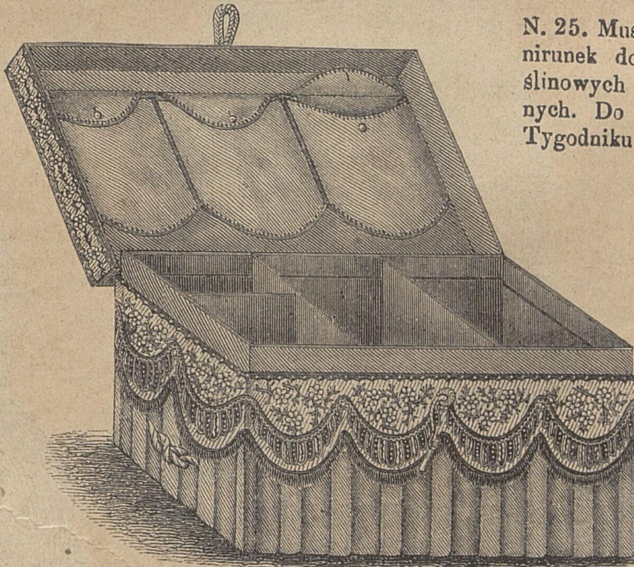
N. 32. Szydełkowy sznur do przytrzymywania firanek.

N. 24 Plisowany garnirunek z muślinu i haftu.

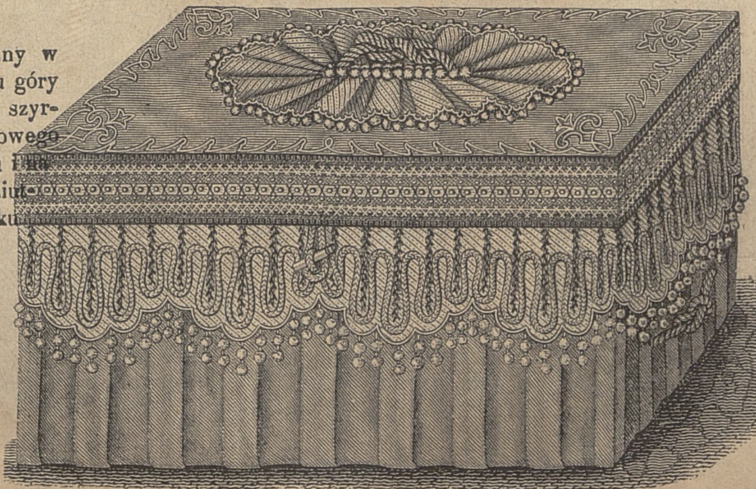
Prosty pas muślinu, plisowany w wązkie równe fałdki, zaszyte u góry i u dołu wstębnowaną pliskę szyrtyngu. Ładna aplikacja atłaskowego haftu, naszyta jest na plisowaniu i na wązkich paskach szyrtyngu. Wąziutki brzeżek koronkowy odrobić można podług brzeżku kołnierzyka ryc: 13 w N 29 Ty. Mód.



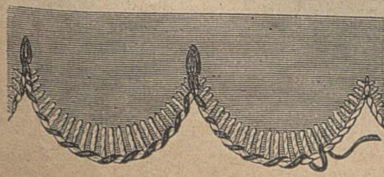
N. 26. Garnirunek do sukni ryc. 4.



N. 31. Pudełko na drobiazgi otwarte. Wewnątrz kieszonki i przegrody.



N. 30. Pudło na drobiazgi do sypialnego pokoju.



N. 28. Dzierganie falbanek do sukien.

N. 25 Garnirunek plisowany z muślinu i koronki.



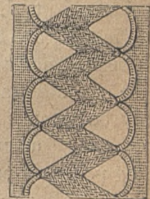
N. 25. Muślinowy garnirunek do sukien muślinowych i jedwabnych. Do ryc. 38 w Tygodniku Mód N. 29.

Na pasku muślinowym, plisowanym wzdłuż, naszyta aplikacja z prawdziwéj koronki. Takaż koronka naszyta brzegiem.

N. 26. Haft do wolantu, sukni z płócienka „écru".

Dzierganie ząbków i rzucik może być podług gustu odrobiony białą bawełną, lub też włóczką w odpowiednim do materjału sukni kolorze. Ażeby brzeg wycięty nie siepał się, należy go starannie podłożyć pod spód haftu w miejscach ażurowych.

N. 27. Garnirunek z plecioneczki w ząbki i haftu.



N. 27. Garnirunek fartuszka ry. 10. w N. 29 T. Mód.

N. 27 przedstawia w naturalnéj wielkości wstawkę, tak jak jest zastosowaną do fartuszka, rycina 9 w numerze 29 Ty: Mód.

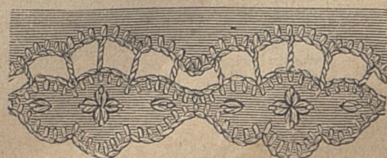
Na szlaczek brzeżny, tasiemeczkę przy szy wa się tylko z jednéj strony ząbkami do materjału.



N. 33. Szydełkowy sznur do przytrzymywania firanek.

N. 28. Dziergane ząbki dwukolorowe do zakończenia wolantu.

Nie zupełnie gęsto zajmowane ściegi dziergania nitką białą lub koloru sukni, są podług wzoru ryc: 28, drugi raz u dołu przeszyte sznu-



N. 29. Szlaczek do sukienek dla dzieci.

reczkowym ściegiem ciemniejszą nitką tegoż koloru lub czarną.

N. 29. Haftowany szlaczek na materjale koloru „écru".

Szlaczek ten nadaje się do sukienek i fartuszków dla dzieci i. t. p. W N. 20 Ty. Mód zastosowany był przy kieszonce na grzebyk.

N. 30—31. Pudło na drobiazgi.

Materjał: używany kosz podróżny; popielate żaglowe płótno i takiegoż koloru batyst lub perkal; sznur; wełniana plecionka i. t. d. Model ryc: 30 jest 66 cent: długi, 35 głęboki, a 41 wysoki.

Boczne ściany koszyczka pokryte są układanym w kontrafałdy batystem, a dno i ściany środkowe, mocnem płótnem. Brzeg pokrycia przyozdabia lambrekina z żaglowego płótna, środek zaś zajmuje wycięta w ząbki rozeta, po za którą wyszyte są arabeski. Uszy do podnoszenia, ułożone z grubego, szydełkowego sznura, podanego w naturalnej wielkości na ryc: 32 i 33. Lambrekiny wycinane są w pięć małych ząbków, i oszyte frendzlą z kulek. Dalsze odrobienie wykonać można podług ryc. 30, zmieniając deseń i ozdoby podług osobistego gustu.

Rycina 31. przedstawia pudło otwarte, dla dokładnego wyobrażenia środkowych przegródek. Lambrekina odrobiona podług podanej ryciny 19 w N. 30. Ty: Mód. Do przykrycia przyszyte są trzy kieszenie zapinane na klapki. Wszystkie pojedyncze części mają obłożenie pąsowe, ładnie odbijące od tła.

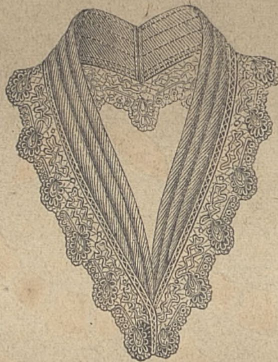
N. 32. Sznur odrobiony pojedynczą nitką szydełkiem.

Bawełna estramadura N 2. Zaczyna się na 8 o: pow: i łączy w kółko, robiąc następnie rząd gładkich śc: oczek. Ciągle zawracając w kółko, dalsze rzędy odrobione śc: o: zajmuje się nie za pentelki, lecz pomiędzy oczkami, jak to wskazuje próbka N. 32.



N. 34. Kapturek letni z grenadiny, krepy, tiulu albo muślinu.

N. 35. Kołnierz chusteczkowy i rękawki. Zobacz ryc. 36 i 37.



N. 39. Kołnierz muślinowy układany w fałdy. Zobacz ryc. 40.



N. 38. Stanik w kolorze „écru" garnirowany plisowanym muślinem i koronką.

N. 33. Sznur odrobiony podwójną nitką.

Bawełna estramadura N. 4. Na zaczęcie sznura, potrzeba kółka z 11 o:; obrabia się w koło zajmując wewnątrz na każde śc: o: pentelkę, poprzecznie przez dwie, jedna na drugą zachodzące części oczka. Na każde nowe o: potrzeba zająć znowu za ostatnie o. i razem z następnem na szydełko założyć.

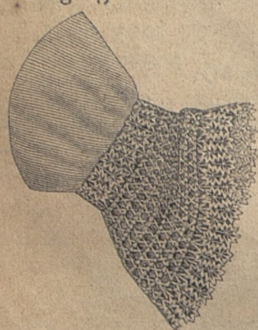


N. 41. Spódnica biała z ozdobnemi szwami.

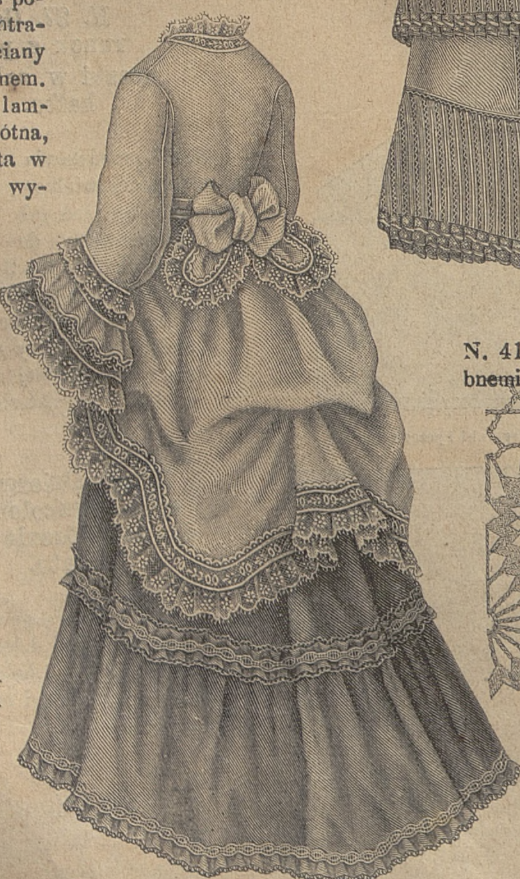


N. 37. Plecioneczka w ząbki i robota szydełkowa do ryc. 35 i 36.

Dalszy ciąg opisu N. 30, nastąpi w dodatku N. 31 Tyg. Mód.



N. 36. Rękawek z plecioneczki i roboty szydełkowej.



N. 42. Suknia z batystu „écru" z okryciem wierzchniem z muślinu.



N. 43. Suknia perkalowa w paski z tuniką.



N. 40. Szeroki rękawek muślinowy do kołnierza ryc. 39.